ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 3(16) • Marzec 2007 • Cena 2,00 zł

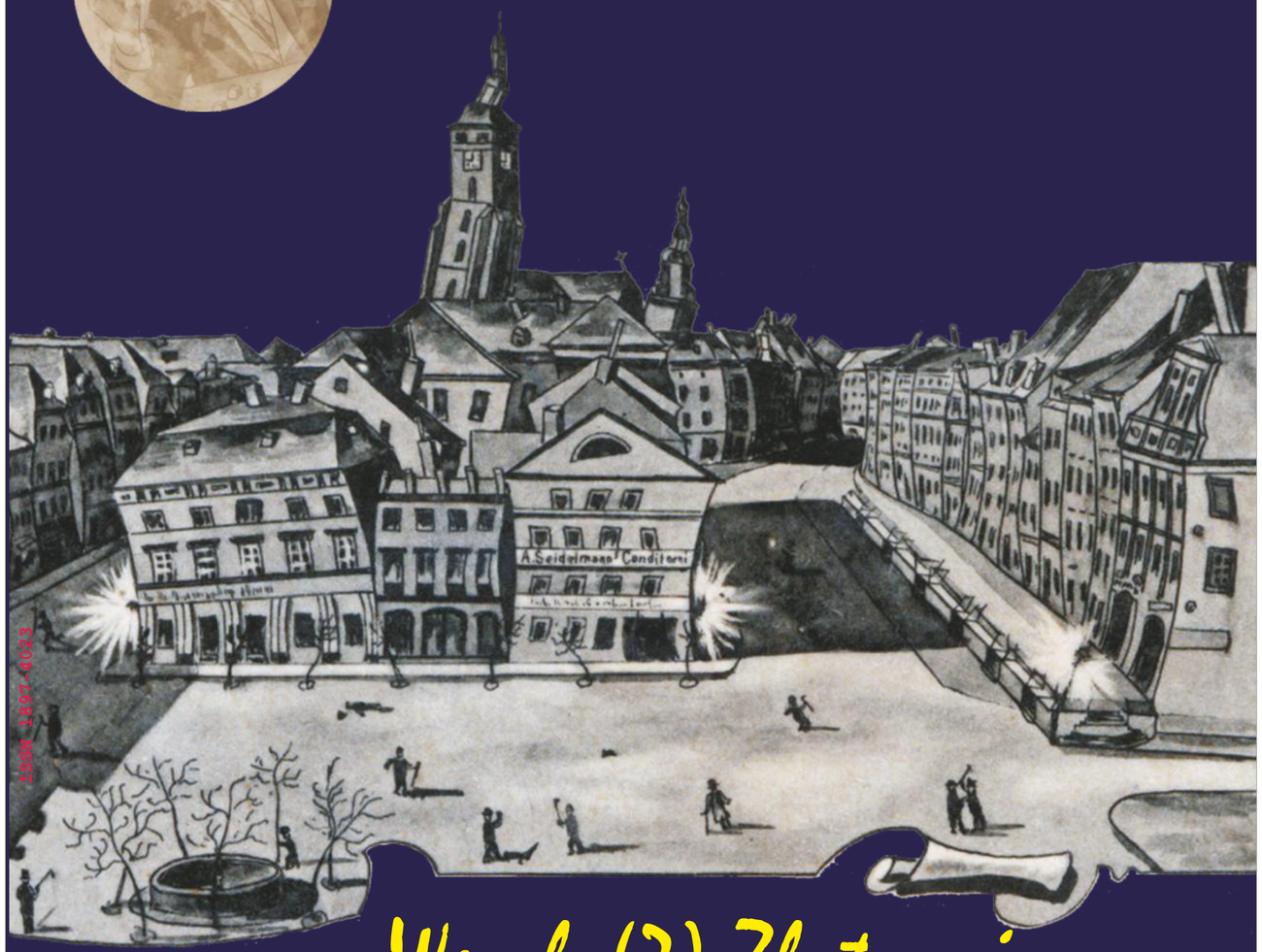

ISSN 1897-4023

Wesoła(?) Złotoryja

Projekt okładki na podstawie przedwojennej widokówki: Bartosz Jeziorski

Wyjaśnijmy coś sobie

Kiedyś podwoziłem kolegę samochodem. W pewnym momencie spytał mnie:
- I jak, wychodzisz coś na tym piśmie? - miał na myśli oczywiście „Echo Złotoryi".
- Nic nie wychodzę - odparłem robimy to… - nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. „Społecznie" - kojarzy się dzisiaj jakoś niezbyt dobrze. „Za darmo" - to tak, jakbym świadczył pracę i nie dostawał wynagrodzenia. Nie pamiętam już jakiego słowa czy sformułowania użyłem, ale wyjaśniłem, że ani ja, ani nikt piszących do „Echa" nie czerpie z tego tytułu korzyści materialnych. Znajomy się zdziwił, być może, gdy wysiadł z samochodu, popukał się w czoło. Wtedy dotarło do mnie, że wielu ludziom trudno jest pojąć, że można coś robić ot tak, dla swojej i innych satysfakcji. Że można uciec od pogoni za pieniędzmi w zupełnie w przeciwnym kierunku.
Będąc małym chłopcem swoich korzeni upatrywałem gdzieś na Kresach Wschodnich. Karmiony opowieściami moich ciotek o Lwowie, rozczytany w Trylogii z jednej strony żałowałem ziem utraconych, z drugiej zaś wrastałem w „Ziemie Odzyskane". Znacznie później, gdy dane mi było bliżej przyjrzeć się mieszkańcom Wielkopolski, zrozumiałem, że nasza społeczność dopiero buduje swoją tożsamość. Nasza wspólna historia ukończyła niedawno dopiero sześćdziesiąt lat. Dlatego tak cenne jest zachowanie w pamięci miejsc, wydarzeń a przede wszystkim ludzi. Dlatego tak ważne jest budowanie więzi nie tylko między mieszkańcami Złotoryi, ale całej ziemi złotoryjskiej. Praca nad naszym miesięcznikiem daje nam możliwość poznawania historii i teraźniejszości ziemi złotoryjskiej i to jest nas zysk, od którego nie zamierzamy płacić podatku. Mam nadzieję, że w jakiś sposób dzielimy się z Państwem tym zyskiem… A czy Państwo jesteście gotowi podzielić się nim dalej?

Robert Pawłowski

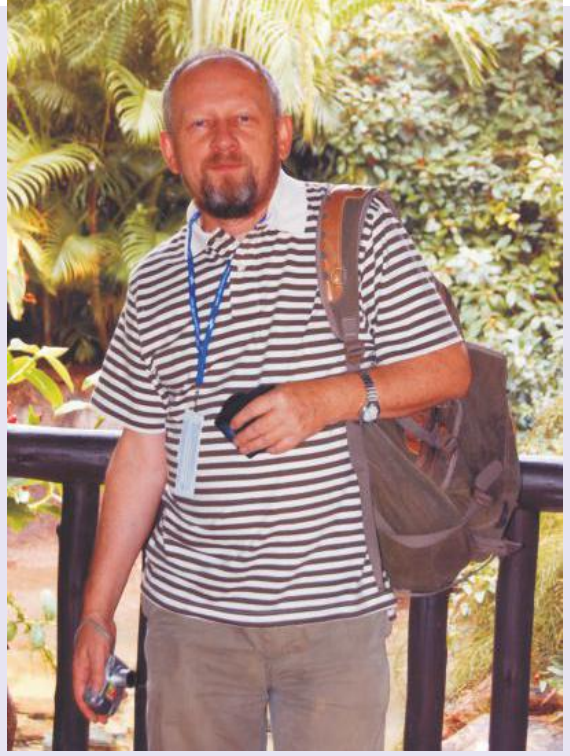

Lekarz dusz

Z perspektywy polityki społecznej alkoholizm jest postrzegany jako zjawisko patologiczne uniemożliwiające uzależnionej jednostce oraz jej rodzinie efektywne zaspokajanie elementarnych potrzeb związanych z uczestnictwem w życiu społecznym.
Osoby nadmiernie pijące stanowią znaczną część pacjentów leczących się w publicznych zakładach opieki zdrowotnej z powodu zaburzeń układu krążenia, trawiennego, neurologicznego oraz nowotworów i urazów. Tego typu schorzenia zaliczane są w Polsce do głównych zagrożeń zdrowia i życia, gdyż powodują w sumie blisko 80 % ogółu zgonów. Wciąż wzrasta wskaźnik zgonów biologicznie nieuzasadnionych, tzn. obejmujący grupę wiekową 15 - 59 lat.

Nietrudno było umówić się na rozmowę z Piotrem Barczakiem, chociaż wiadomo, że jest to bardzo zajęty człowiek.
– Bardzo proszę. Gdzie i o której? - zapytał rzeczowo, gdy dzwoniłam w sprawie wywiadu. Byłam bardzo stremowana.
– Oczywiście, będę. - odpowiedział, gdy podałam termin za dwa dni. Wtedy dopiero puściła mi trema.

Umówiliśmy się w Ośrodku TMZZ. Piotr Barczak wszedł prężnym krokiem osoby, która nie lubi marnować czasu. Energiczny uścisk dłoni. Po zrobieniu kawy mogliśmy spokojnie usiąść i porozmawiać.
Przede mną siedział lekko łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce, szczupły, ubrany w wygodne, codzienne ubranie. Twarz wzbudzająca zaufanie i niebieskie oczy, które - zdawałoby się - potrafią rozpoznać intencje osoby siedzącej naprzeciw.

***Agnieszka Młyńczak:** Proszę powiedzieć coś o sobie.*

Piotr Barczak: Mam 53 lata, jestem szczęśliwie żonaty od 25 lat. Stale z tą samą kobietą! - uśmiecha się. Mam dwoje dzieci, które właściwie są już dorosłe. Syn kończy psychologię na uniwersytecie w Poznaniu, córka studiuje filologię rosyjsko - angielską też w Poznaniu. To bardzo trudny kierunek. Właściwie, jak dwa kierunki.

***A.M.:** Ma pan udane dzieci?*

P.B.: O tak! - nie próbuje nawet ukrywać dumy.
- Z moimi dziećmi mam bardzo dobry kontakt. Nie byłoby tego, gdybym im nie poświęcił sporo swojego czasu wtedy, gdy były małe. Karierę zawodową zacząłem, gdy dzieci były dość duże.

***A.M.:** Jaki ma pan właściwie zawód?*

P.B.: O, to trochę dłuższa historia - odpowiada z lekkim rozbawieniem.
- Na szkołę średnią wybrałem technikum hotelarskie. Tam zdobywałem szlify jako kelner. Mogę powiedzieć, że mam taki zawód. Szkoły tej jednak nie skończyłem. Zostałem z niej wyrzucony za *nieprawomyślność*. Potem uczyłem się w trzech wieczorowych ogólniakach. Ostatni z nich był aż w Białogardzie. Tam zdałem maturę i dostałem się na studia psychologiczne we Wrocławiu.
W 1974 r. zostałem skazany na 2,5 roku więzienia za moje przekonania religijne.

***A.M.:** Siedział pan w więzieniu???*

P.B.: Tak, proszę pani. Po niespełna roku wyszedłem na wolność dzięki amnestii. Karę odsiadywałem w zakładzie karnym w Wilkowie. Proszę sobie wyobrazić, że po latach na miejscu tego nieistniejącego zakładu utworzono zakład odwykowy, w którym pracowałem. Dziwne, ale nie czułem niechęci do tego miejsca. Może raczej - sentyment?
Po wyjściu na wolność szukałem pracy. Pan Piotr Behnke, ówczesny dyrektor szpitala psychiatrycznego w Złotoryi stwierdził, że choroby są bezwyznaniowe. Przyjął mnie do pracy w szpitalu i powierzył funkcję kierownika oddziału odwykowego. Jestem mu za to bardzo wdzięczny i czuję duży szacunek dla tego człowieka.

***A.M.:** A czym się różni psychiatra od psychologa? Czy to prawda, co mówią, że psychiatra leczy ciało (mózg), a psycholog duszę?*

P.B.: Ogólnie można tak powiedzieć. Psychiatra leczy farmakologicznie, a psycholog-terapeuta zajmuje się leczeniem poprzez oddziaływanie. Tak, leczy dusze.

***A.M.:** Ale wróćmy do pana drogi zawodowej…*

P.B.: Podczas mojej pracy w szpitalu psychiatrycznym w Złotoryi w Bolanowie (koło Lubina) wybuchł strajk. Pacjenci ściągnęli telewizję, bo według nich stosowano niedopuszczalne, poniżające metody leczenia. Wtedy zaproponowano mi objęcie stanowiska kierownika tej placówki. Od tego momentu, można powiedzieć, zaczęła się moja przygoda z uzależnieniami.
Zaczynałem wszystko od nowa.

***A.M.:** A dlaczego pański ośrodek w Szklarskiej Porębie nazywa się Radzimowice, tak jak miejscowość?*

P.B.: Pod koniec lat osiemdziesiątych, w czasie jednej z wędrówek po górach z moimi pacjentami odkryliśmy w Radzimowicach pięknie położoną chałupę, budynek. Był niezamieszkany. Pomyślałem, że można by było tu urządzić wspaniały ośrodek dla uzależnionych. Pan Piotr Behnke zgodził się na wynajęcie budynku od gminy.
Razem z pacjentami wyremontowaliśmy pomieszczenia i potem przez następne 10 lat trwało tam leczenie uzależnień - wspomina z nostalgią mój rozmówca.
- Moją ambicją było wyprowadzić leczenie odwykowe ze szpitala psychiatrycznego. Uzależnienie nie jest chorobą psychiczną, chociaż leży w obszarze zdrowia psychicznego.
Jedną z terapeutek w zespole była psycholog Katarzyna Zając. Obecnie mieszka w Kalifornii (USA) i pracuje w sławnym instytucie Esalan.

***A.M.:** Pan również odniósł sukces. Wiem, że zdobywanie przez pana wiedzy nie skończyło się na ukończeniu studiów?*

P.B.: Ach, to właściwie dopiero początek! W czasie swojej 25 - letniej pracy ukończyłem wiele szkoleń, kursów, studiów podyplomowych. Brałem udział w wielu stażach, seminariach dotyczących psychoterapii. Wiele z nich odbywało się na terenie USA, niektóre w Anglii, a nawet w Rosji.

***A.M.:** Bardzo proszę wymienić najważniejsze dla pana.*

P.B.: Specjalizacja z psychoterapii uzależnień, czteroletni kurs w Anglii z zakresu metody Feldenkreisa (wtajemniczeni będą wiedzieć, o co chodzi), trzyletnie studia doktoranckie, studia podyplomowe z zakresu zarządzaniem ochrony zdrowia, dwuletnie studia z zakresu psychoterapii systemowej.

***A.M.:** Dużo tego i godne podziwu. Kiedy miał pan na to czas?*

P.B.: Jakoś starałem się wszystko ze sobą godzić. Moja rodzina na tym nie ucierpiała. Co zresztą widać - uśmiech.
- W 2006 r. na Florydzie brałem udział w warsztatach dotyczących męskości. Poznałem metody pomagające mężczyznom stać się bardziej mężczyznami. Jest to tzw. psychologia rodzaju.

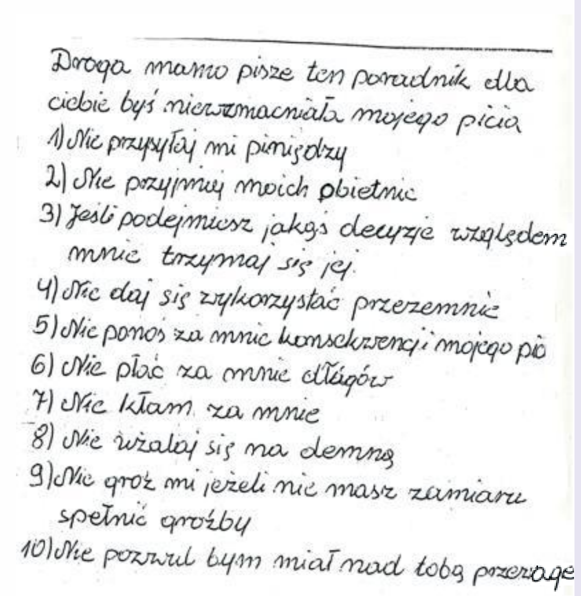
Drogi mamo pisze ten poradnik dla
ciebie byś nie wzmacniała mojego picia
1) Nie przysyłaj mi pienidzy
2) Nie przyjmuj moich obietnic
3) Jeśli podejmiesz jakąś decyzje względem
mnie trzymaj się jej.
4) Nie daj się zykorzystać przezemnie
5) Nie ponoś za mnie konsekwencji mojego pio
6) Nie płać za mnie długów
7) Nie kłam za mnie
8) Nie użalaj się na demną
9) Nie groź mi jeżeli nie masz zamiaru
spełnić groźby
10) Nie pozwul bym miał nad tobą przewage

Oryginalny list alkoholika do matki

Bardzo ciekawe podejście do tematu. Byłem członkiem zespołu amerykańskiego. Jestem do dziś pod wrażeniem profesjonalizmu, świetnego przygotowania tamtejszych naukowców, doskonałego zorganizowania. Ale to jest temat na nieco inną rozmowę.

***A.M.:** Zapewne przede wszystkim pańskie przygotowanie teoretyczne było przyczyną sukcesu własnego ośrodka w Szklarskiej Porębie? Czy to prawda, że na miejsce do tego ośrodka czeka się kilka miesięcy?*

P.B.: W latach dziewięćdziesiątych prawo stworzyło możliwości otwierania własnych zakładów leczniczych. W 1999 r. po byłym domu wczasowym otworzyłem niepubliczny zakład opieki zdrowotnej. Nazwałem go *Radzimowice*, przez sentyment dla tamtych lat. Mój zakład ma kontrakt z Narodowym Funduszem Zdrowia, więc mogą się u mnie leczyć nie tylko bogaci ludzie.
W naszym ośrodku leczymy wszystkie uzależnienia: alkoholizm, narkomanię, lekomanię, hazard, bulimię, anoreksję, a nawet erotomanię, czyli uzależnienie od seksu. Temu ostatniemu ulegają nie tylko mężczyźni, jak się powszechnie sądzi, ale też kobiety.
Jeśli chodzi o personel, to na 24 pacjentów mamy dwóch lekarzy (psychiatra i internista), 1 osoba od administracji, 10 psychoterapeutów i jeden doktor nauk - wykładowca.
Mamy swoją stronę internetową.
Nasz personel jest bardzo dobrze przygotowany do tego typu pracy, dlatego jakość naszych usług jest bardzo wysoka. Współpracujemy z placówką akademicką. W przygotowaniu są publikacje naukowe z udziałem naszego ośrodka.
Wśród personelu są osoby posiadające własne doświadczenie w wychodzeniu z uzależnienia.
Naturalnie, nie muszę dodawać, że cały mój personel jest wolny od jakichkolwiek uzależnień! Oznacza to, między innymi, że nikt z zespołu nie pali papierosów. Gdyby było inaczej, to by było oszustwo z naszej strony. Nie moglibyśmy być wtedy wiarygodni.

***A.M.:** Na czym polega leczenie w ośrodku Radzimowice?*

P.B.: Jak najmniej leków, chociaż czasami są niezbędne. Dlatego zatrudniamy psychiatrę i internistę. Psychoterapia polega na zajęciach we wszystkie dni tygodnia. Pacjenci spotykają się w małych 10-osobowych grupach w trzech blokach zajęciowych dziennie po kilka godzin. Ponadto każdy pacjent jest prowadzony indywidualnie przez swojego konsultanta, który opracowuje diagnozę, sporządza program terapeutyczny, przydziela i rozlicza zadania. Współpracujemy też z członkami rodzin i włączamy ich w program zdrowienia.
W czasie terapii nie zgadzamy się na żadne formy przemocy. Psychoterapia musi odrzucać presję jako metodę leczenia, toteż w ośrodku panuje swobodna, przyjazna atmosfera. Jednak podstawowym warunkiem pobytu jest zachowanie abstynencji. Złamanie tej zasady powoduje bezwzględny wypis.

***A.M.:** Czy może dać pan próbkę, jak wyglądają zajęcia?*

P.B.: Niemal nigdy nie ma wśród alkoholików takich, którzy mieli dobre relacje z ojcem. Często nie chodzi o to, że ojciec pije czy znęca się nad dziećmi. Wystarczy, że go po prostu nie ma. Nie ma, bo robi karierę czy zwyczajnie nie liczy się w domu. Chłopiec musi identyfikować się z ojcem, nie z matką. Matka spełnia zupełnie inną rolę w rodzinie.
Pan Piotr wstaje, bierze krzesło i stawia naprzeciw siebie.
- To krzesło to twój ojciec - mówi psychoterapeuta do wyimaginowanego pacjenta. - Co powiesz teraz do ojca?
Pacjent: - Nienawidzę cię! Jesteś cholernym skur...! Zabiję cię!
- Nie przebierają w słowach - mówi Piotr Barczak. I dobrze! Podczas terapii mogą mówić to, co do tej pory skrywali, nie mogli bądź nie umieli wypowiedzieć. A często bywa, że na początku nic nie mówią. Nie potrafią. Dlatego cieszymy się, że zaczynają, jeżeli nawet tak drastycznie. My pomagamy im zobaczyć uzależnienie i zaakceptować je mentalnie i emocjonalnie. Chcemy pokazać, skąd się wzięło. Bo uzależnienie to tylko objaw.

***A.M.:** No właśnie, objaw czego?*

P.B.: Można powiedzieć, że uzależnienie zaczyna się wtedy, gdy nie akceptujemy siebie: jeżeli ktoś jest nieśmiały, alkohol poprawia mu nastrój; jeżeli chłopak nie potrafi zagadnąć dziewczyny, to po kieliszku idzie mu jak z płatka; łatwo wpada się w pułapkę uzależnienia.
Chcemy nauczyć naszych pacjentów zrozumienia swojej przeszłości i tego, od czego cały czas uciekali. Cały czas uzależnienia obchodzili swój ból w kółko. My pomagamy w odblokowaniu procesów rozwojowych. Pacjent musi zrozumieć, na czym to polega.

***A.M.:** Pana największy sukces i porażka?*

P.B.: Mój sukces to *Król Błękitu*. To był 28-letni mężczyzna, który przez kilka lat pił denaturat. Miał już halucynacje. Trafił do nas. Poddał się terapii. Założył rodzinę. Nie pije. Natomiast moja klęska?
- To był 35-letni mężczyzna uzależniony od seksu. Od początku terapii kłamał, a po burzliwej konfrontacji zerwał terapię. Jest to dla mnie bardzo bolesne wspomnienie.
Jednak dziesiątki naszych pacjentów jest trzeźwych. Zdrowieją. Mam z nimi kontakt. Radzą sobie w życiu.

Piotr Barczak sukces zawodowy ma już za sobą. Teraz może odcinać kupony od intensywnej pracy i nauki. Co robi, aby nie popaść w depresję po zetknięciu z takimi przypadkami? Twierdzi, że ma ostoję w rodzinie, a właściwie w żonie, bo obecnie ma syndrom tzw. pustego gniazda. Dzieci już nie ma, bo kilka lat temu wyjechały na studia. Zostali oboje z żoną. Kochają się. Łączy ich 25 lat wspólnego pożycia.
Pan Piotr zaangażował się w działalność religijną, ponadto zdradził mi, że ma hobby. Zakupił sobie wysokiej jakości sprzęt do obserwowania ptaków. Twierdzi, że to fascynujące zajęcie pomaga mu oderwać się od rzeczywistości. Ponadto jest wykładowcą w Wyższej Szkole Psychologii Społecznej we Wrocławiu.

Rozmawiała Agnieszka Młyńczak
zdjęcia z archiwum pana Piotra Barczaka

Ośrodek Terapii Uzależnienia i Współuzależnienia *Radzimowice*
Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej
58-580 Szklarska Poręba Średnia, ul. Dolna 4
www.otuiw.ictntravel.home.pl

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Józef Banaszek, Aleksander Borys, Anna Chrzanowska, Renata Fuchs, Roman Gorzkowski, Bartosz Jeziorski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny).

Niedziela jest nasza

Iwona Pawłowska: Po kilku miesiącach od wyborów można już sporządzić bilans zysków i strat. Jak on wypadł u Ciebie? Opłacało się zostać wójtem?

Tomasz Sybis: Czy się opłacało, okaże się za cztery lata. Podsumują to wyborcy. Na pewno u mnie nastąpiła pewna rewolucja. Trochę zmieniło się moje życie osobiste. W domu jestem rzadziej i krócej. Mam częste wyjazdy i dłuższe godziny pracy. Staram się obecnie dostosowywać urząd do swojej wizji. Myślałem, że w lepszym stanie zastanę niektóre sprawy. Pierwsze podsumowanie moich działań będzie możliwe pewnie po roku.
Z pełną świadomością rozpoczynałem nowy etap w swoim życiu. To nie było tak, że przez przypadek wygrałem wybory. Wiedziałem, że nowe zadania będą wymagały dodatkowego zaangażowania, energii i wiele czasu. W poprzedniej kadencji byłem radnym, przewodniczącym Komisji Budżetu, Finansów i Rolnictwa i wiedziałem dokładnie, z czym wiąże się decyzja o zostaniu wójtem.

Iwona Pawłowska: *Jak z perspektywy żony wygląda życie w Waszym domu, od kiedy Tomek został wójtem?*

Iwona Nartowska Sybis: To, że Tomek stanął do wyborów, było naszą wspólną decyzją. Nie zapadła ona jednak od razu. Wiele wieczorów spędziliśmy na dyskusjach, rozważaliśmy argumenty za i przeciw. Musieliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy podołamy wszystkiemu. W końcu w domu jest jeszcze nasza mała Asia, która wymaga nieustannej uwagi i czasu. Jednak zdecydowaliśmy się podjąć nowe wyzwanie. A teraz…No cóż- polegam więcej na sobie i uzbrajam się w cierpliwość. Zdaję sobie sprawę, że jak Tomka nie ma, muszę przejąć więcej obowiązków. Niektóre wieczory spędzam samotnie, bo mąż uczestniczy w licznych spotkaniach i zebraniach, ale skoro wspierałam Tomka przed wyborami, teraz nie będę narzekać.

I.P.: *Odczuwasz czasami satysfakcję, że jesteś wójtową?*

I.N-S: Fakt wygrania wyborów i poparcie, jakie otrzymał mój mąż od mieszkańców naszej gminy, to powód do dumy. Cieszę się z sukcesów Tomka i zawsze będę go wspierała w tym, co robi. Nie przyzwyczaiłam się jeszcze do roli wójtowej i społecznego odbioru mojej osoby. Wiem, że od dnia wyborów jestem osobą bardziej rozpoznawalną i to, co robię, wpływa na postrzeganie męża przez mieszkańców. W moim podejściu do życia nie nastąpiły jednak aż tak zasadnicze zmiany. Dla mnie nie tytuły, a nadal takie wartości jak rodzina i praca są najważniejsze.

I.P.: *Jak wielu przyjaciół stracił i zyskał Tomasz Sybis, od kiedy został wójtem?*

T.S.: Przyjaciół wielu nie zyskałem. Może ze względu na pewne ograniczenia czasowe, teraz rzadziej spotykam się z ludźmi na stopie towarzyskiej. To grono, jakie było przedtem, zostało, jednak kontakty z przyjaciółmi trochę się rozluźniły. Nie mam wielu okazji do spotkań.
Kilku znajomych, może nie przyjaciół, straciłem przez swoje decyzje. Trudne decyzje.

I.P.: *Obejmowałeś urząd w atmosferze skandalu, zarzucono Ci manipulowanie głosami wyborców. Odnieś się teraz z perspektywy czasu, na chłodno do stawianych Ci zarzutów.*

T.S.: Nie nazwałbym tego skandalem, ale łabędzim krzykiem sztabu wyborczego mojego kontrkandydata. Zaangażowana była w to duża grupa ludzi. To były kolejne wybory, mówię o drugiej turze, przegrane przez tego pana. Całe zdarzenie odbieram jako efekt frustracji i rozżalenia po przegranych wyborach. Jeśli chodzi o stawiane mi zarzuty, to byłem przesłuchiwany przez policję w charakterze świadka. Prawdopodobnie śledztwo już zostało zamknięte. Nie powiadomiono mnie o tym, ponieważ postępowanie było prowadzone w sprawie a nie przeciw mojej osobie. Teraz czekam spokojnie na zakończenie całego zamieszania i rozważam dalsze kroki prawne. Prawdopodobnie wniosę sprawę z powództwa cywilnego przeciwko osobie lub osobom, które całą sprawę rozpętały, bo sformułowane zarzuty są wyssane z palca.

I.P.: *Jak wyglądają Twoje stosunki z poprzednim wójtem Pielgrzymki?*

T.S.: Praktycznie nie utrzymujemy żadnych kontaktów. W normalnych warunkach przekazaliśmy sobie urząd. Pan Grzyb pojawia się jeszcze u nas, bo jest prezesem klubu łuczniczego Unia Pielgrzymka, ale jego przyjazdy są coraz rzadsze. A z drugiej strony nie szukam kontaktu, żeby mieć swoje spojrzenie na niektóre sprawy i procesy prowadzone w gminie. Nie chciałem się sugerować cudzą opinią i prowadzić polityki kontynuacji w sferach organizacyjnych, gdzie konieczne jest przeprowadzenie zmian.

I.P.: *W jakim stanie zastałeś gminę? Niektórzy twierdzili, że bałagan w Pielgrzymce jest wręcz przysłowiowy.*

T.S.: Nie powiedziałbym tak. Poprzedni Wójt 13 lat administrował gminą. Postępował według utartych schematów. Należy oddać mu wyrazy szacunku i docenić wieloletnią pracę samorządową. Jednak w zmieniającym się otoczeniu kierowanie gminą wymaga dużego zaangażowania i ciągłych procesów dostosowawczych. Ja pewne rzeczy chcę zmieniać. Jest wiele obszarów wymagających innowacyjnego podejścia. Chcę uporządkować finanse gminy, podejście pracowników do obowiązków już pewne zmiany kadrowe wprowadziłem. Podziękowałem za pracę skarbnikowi gminy i zatrudniłem informatyka. Radnych i pracowników przekonuję do swojej wizji. Uważam, że w sprawach ważnych dla gminy powinniśmy mówić jednym głosem, gdyż współpraca jest jednym z determinantów odniesienia sukcesu.
Stan finansów nie jest na zadowalającym poziomie. Gmina ma zadłużenie, które trzeba będzie spłacać. Nie są to jednak długi, które mogą paraliżować bieżące funkcjonowanie. Wynika to może trochę z ostrożności poprzednika, który był zbyt zachowawczy pod względem inwestycyjnym. Mało jest inwestycji, a te, które są, nie zadowalają swym poziomem. Wiele do życzenia pozostawia kwestia dochodów gminy. Polityka finansowa nie była dokładnie prowadzona. Część dochodów przeciekała między palcami. Ja ten system uszczelniam. Nie podoba się to niektórym osobom, ale jeśli ktoś przez tyle lat tolerował pewne procesy, ja muszę zadziałać i wyprostować trudne sprawy.
Informatyzacja urzędu jest na bardzo złym poziomie. Aby więcej wymagać od pracowników, w pierwszej kolejności należy dać im narzędzia do pracy mam na myśli sprzęt i programy komputerowe ułatwiające pracę.

I.P.: *Zastanawiam się, dlaczego tak młody człowiek, jak Ty, garnie się do polityki. Przecież jest wiele innych ciekawszych dziedzin, w których mógłbyś się realizować.*

T.S.: Jeśli młodzi ludzie zostawią te wszystkie procesy gminie w myśl zasady „Nie angażujmy się, zostawmy to innym", to nic się nie zmieni. Ja chcę mieszkać tutaj i uważam, że muszę aktywnie włączyć się w przemiany, żeby generalnie żyło się lepiej. Zaczęło się to od pracy społecznej na terenie mojej miejscowości, działałem trochę w LZS-ie. Potem zostałem wybrany na radnego w Czaplach i tutaj wspólnie z sołtysem, LZS-em, Kołem Gospodyń Wiejskich wypracowaliśmy pewien sukces. Wspólnie określiliśmy najważniejsze sprawy, którymi należy się zająć, coś wreszcie zaczęło się dziać. Na początku poprzedniej kadencji jako klub radnych jasno określiliśmy stanowisko, jak chcemy współpracować z wójtem w zakresie najważniejszych problemów w gminie. Chcieliśmy pewnych zmian w urzędzie, szczególnie zasad jego funkcjonowania. Słyszeliśmy wtedy od wójta deklaracje współpracy, ale de facto nic w tym kierunku nie zrobił. Uznałem, że pora podjąć ryzyko i kandydować na wójta. Straciłem cierpliwość. Założyliśmy komitet wyborczy i przedstawiłem mieszkańcom swoją ofertę, która została zaakceptowana. Kampania wyborcza była trudna, ponieważ miałem kilku konkurentów, ale to mnie obdarzono zaufaniem.

I.P.: *Nie traktowano Twojej decyzji o kandydowaniu z przymrużeniem oka właśnie ze względu na młody wiek? Przecież ludzie nie zawsze obdarzają zaufaniem młodych, o czym świadczy wynik 1 tury wyborów na urząd burmistrza Złotoryi.*

T.S.: Właśnie z powodu podobnych obaw nie zgodziłem się kandydować w poprzednich wyborach, choć miałem taką propozycję. Chciałem nabrać więcej doświadczenia w pracy samorządowej stąd moja obecność w radzie gminy. Nie sztuką jest wygrać wybory, przeprowadzić kampanię, uzyskać poparcie wyborców, trudniej udowodnić, że jest się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Ja wyraźnie przedstawiłem mieszkańcom swoją koncepcję funkcjonowania gminy, doświadczenie, wykształcenie, osiągnięcia w pracy samorządowej. Potraktowali moją ofertę na serio i obdarzyli mnie zaufaniem.

I.P.: *Rodzina wspomagała Cię w kampanii wyborczej?*

T.S.: Tak, generalnie mój komitet wyborczy to rodzina: ja z żoną, siostra z mężem i moi rodzice. W takim gronie zrobiliśmy całą kampanię. Dużo też zawdzięczam kandydatom na radnych z mojego komitetu, sołtysom oraz przyjaciołom.

I.P.: *A jak Ty odnalazłaś się w tym politycznym zamieszaniu podczas kampanii wyborczej?*

I.N-S.: Kampania wyborcza był to okres intensywnej pracy i zaangażowania. Emocje związane z wyborami dotyczyły wszystkich, którzy pracowali przy kampanii. Wspólnie pisaliśmy program wyborczy, redagowaliśmy ulotki, czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy wrócą z drukarni. Szukaliśmy sposobów na dotarcie z programem do jak największej liczby wyborców.

I.P.: *Znajomi Twojej żony dowiedzieli się o tym, że kandydujesz na wójta dopiero wtedy, gdy oficjalnie ogłoszono wyniki wyborów. Zabroniłeś żonie o tym mówić?*

T.S.: Nie, myślę, że nie chciała się chwalić. Albo bała się wziąć na swoje barki odpowiedzialności przed innymi, gdy spotka mnie porażka.

I.N-S.: Żadna porażka nie wchodziła w grę. Ja od razu wierzyłam w Ciebie. Byłam wręcz przekonana, że wygrasz, ale żeby nie zapeszać, starałam się nie poruszać tematu wyborów.

I. P.: *Gdybyś Ty miała wybrać mężowi zawód to…*

I.N-S.: Tomek potrafi przekonywać i jednoczyć ludzi, ma jasno sprecyzowane cele i działania, jakie należy podjąć, aby je zrealizować. Myślę, że to jest właściwy człowiek na właściwym miejscu.

I.P.: *Nie obawiasz się, ze za parę miesięcy, kiedy Twoja córka zacznie mówić, na widok tatusia zapyta: Kim jest ten pan?*

T.S.: Nie, myślę, że nie. Niedługo wszystko sobie poukładam w pracy tak, że obowiązki nie będą kolidować z opieką nad dzieckiem i jego wychowywaniem. Wszystko trzeba umieć pogodzić. Dlatego najważniejsze jest stworzenie dobrych struktur w urzędzie, podzielenie obowiązków. Jeśli stworzę taki system, jak planuję, to wszystko będzie racjonalnie funkcjonować.

I. P.: *Dużo w Tobie optymizmu.*

T.S.: Jestem optymistą, ale twardo stąpającym po ziemi. Od pewnych realiów się nie ucieknie. Jednak trzeba patrzeć w przyszłość z uśmiechem i radością. Jeśli moja córka zacznie mówić do mnie „ pan", to wezmę tydzień urlopu i gdzieś wyjedziemy.

I.P.: *Słyszałam o Twoich zainteresowaniach sportem. Kiedyś grałeś w pikę, potem już biernie wspierałeś swoją drużynę. Jakie plany względem klubu piłkarskiego "Feniks" Pielgrzymka ma kibicujący wójt? Przywrócisz świetność „Feniksowi"?*

T.S.: Ostatnio spotkałem się z zarządem klubu i wstępnie rozmawialiśmy o budżecie. Wsparcie finansowe i organizacyjne, tak jak i pozostałe kluby sportowe, ode mnie na pewno dostaną. Opracujemy realny program, aby stworzyć warunki finansowe i kadrowe, które pozwolą drużynie z gminy Pielgrzymka zaistnieć w klasie okręgowej. No i naturalną rzeczą jest to, by budować ją w oparciu o „Feniks". Dużym problemem jest rozdrobnienie wśród drużyn. Mamy ich w gminie kilka, a budżet przeznaczony na utrzymanie LZS-ów niewielki, ok. 50 tys. Kluby w dużej mierze funkcjonują dzięki społecznej pracy lokalnych działaczy. Dużym problemem jest niedostateczne szkolenie młodzieży. Nie oszukujmy się jednak, jeśli chcemy sukcesów, muszą znaleźć się pieniądze i to nie tylko z budżetu gminy, ale również od sponsorów.
W Pielgrzymce dobrze funkcjonuje klub łuczniczy. Osiąga sukcesy w skali kraju. Jednak utrzymanie „Unii" jest tańsze z punktu widzenia budżetu gminy, ponieważ część środków finansowych jest pozyskiwana ze źródeł zewnętrznych. Może kiedyś tak będzie z piłkarzami.

I.P.: *Urząd gminy przymierza się do wydawania gazety. Co to będzie za pismo?*

T.S.: Będzie to kontynuacja wcześniejszego projektu. Chcemy jednak unowocześnić gazetę, publikować więcej zdjęć, informacji. Pisać będą pracownicy urzędu, kierownicy jednostek organizacyjnych: dyrektorzy szkół, przedsiębiorstwa komunalnego, straży…Chodzi o to, by na bieżąco przekazywać mieszkańcom informacje o tym, co się dzieje w gminie, o kierunkach naszej pracy. Ludzie potrzebują takiej wiedzy. Wszystkie sprawy powinny być jasne. Jestem za pełną otwartością, przejrzystością władzy.
Gazeta ma być wydawana co dwa miesiące.

I.P.: *Interesuje mnie, co zyskają Czaple na tym, że ich mieszkaniec jest wójtem gminy?*

T.S.: Zyskają wszystko to, co cała gmina. Chcę dbać o równomierny rozwój całej gminy. Chcę wykorzystać fundusze unijne. Akurat teraz jest nowy okres finansowania z Unii (2007 2013), więc będziemy pisać wnioski, by dostać dodatkowe pieniądze na rozwój. Jeśli się uda, Czaple też zyskają. Dużo jednak zależy od samych mieszkańców i ich inicjatywy. W wielu sprawach skuteczność w realizacji programów rozwojowych jest związana z aktywnością lokalnych społeczności. Ja mogę im pomóc, stworzyć możliwości realizacji planów i zamierzeń. Zmodyfikowałem działanie Gminnego Centrum Informacji. To już nie tylko miejsce, gdzie bezpłatnie można skorzystać z komputera i Internetu, ale również otrzymać pomoc merytoryczną przy pisaniu wniosków unijnych o dofinansowanie do tzw. miękkich programów.

I.P.: *Myślałeś o wykorzystaniu walorów krajobrazowych, turystycznych gminy?*

T.S.: Tak, turystyka dla naszego regionu jest bardzo ważna. Jest to duża szansa dla nas na zaistnienie. Tutaj nie ma wielkiego przemysłu. Jest za to wiele malowniczych miejsc. Trzeba to, co jest, racjonalnie

wykorzystać. Już pojawia się koncepcja stworzenia ścieżki rowerowej, łączącej trzy najważniejsze wzgórza w naszej okolicy: Wilczą Górę, Ostrzycę, Grodziec. Obecnie pracujemy nad wytyczaniem tras. Pojawiają się również powoli gospodarstwa agroturystyczne, na razie bez wsparcia gminy, ale już myślę o tym, jak pomóc rolnikom w tym działaniu. Będę się wzorował na rozwiązaniach gminy Świerzawa, gdzie tych gospodarstw funkcjonuje już wiele i z dobrym skutkiem. Mam nadzieję, że kiedy rolnicy zobaczą, jak inni to robią i im się opłaca, to zainwestują w ten rodzaj działalności. Liczę, że niebawem turyści pojawią się również w gminie Pielgrzymka.

I.P.: *A Ty podróżujesz?*

T.S.: Raczej jestem domatorem, ale planuję w tym roku wyjechać z żoną i córką na wakacje. A jak się nie uda daleko, to skorzystam z atrakcji, jakie oferuje okolica. Miejsc, gdzie można pospacerować i wypocząć z rodziną jest naprawdę dużo. A do tego nie trzeba wakacji. Wystarczy niedziela. Niedziela jest dla nas.

I.P.: *Dziękuję za rozmowę i życzę więcej niedziel, szczególnie Twojej żonie.*

Rozmawiała Iwona Pawłowska
Zdjęcia: Robert Pawłowski

W rozmowie z wójtem Pielgrzymki Tomaszem Sybisem i jego żoną Iwoną Nartowską Sybis pozwoliłam sobie na mniej oficjalny ton i pewną familiarność (oboje są moimi znajomymi od lat). Mam nadzieję, że Czytelnik mi to wybaczy.

Matthäi jak Matejko

W latach 1853-1876 burmistrzem Złotoryi był Gustav Matthäi. Nie był rodowitym złotoryjaninem, przybył tutaj jako policjant w 1851 r. i już dwa lata później objął ten zaszczytny urząd(w 1864 r. został wybrany ponownie). Podczas jego rządów zmienił się wygląd miasta, jego znaczenie i życie mieszkańców.

Od 1859 r. rozpoczęto częściową rozbiórkę murów obronnych, a także zasypywanie fosy, co umożliwiło urządzenie plant, które otoczyły miasto. Również w 1859 r. stanął przy dzisiejszej ul. Górniczej wiatrak typu holenderskiego, który zostanie zniszczony przez artylerię radziecką w lutym 1945 r. W 1870 r. rozpoczęła się budowa gmachu szkolnego przy ul. Kolejowej(dziś LO oraz Gimnazjum nr 1), w następnych kilku latach odbudowano zniszczoną pożarem restaurację na Górze Mieszczańskiej, a na Wilczej Górze ustawiono nowy pomnik, upamiętniający bitwę w 1813 r. W 1872 r. został zlikwidowany cmentarz katolicki przy ul. Podwale. Nieco wcześniej Oswald Neumann nabył browar (przy ul. Mickiewicza), aby rozpocząć jego rozbudowę. W 1858 r. powstała loża masońska i wzniosła swoją siedzibę przy ul. Staszica. Założono Urząd Stanu Cywilnego oraz Ewangelickie Towarzystwo Śpiewacze. Na ulicach pojawiło się wiele lamp olejowych.

Z inicjatywy burmistrza otwarto jadłodajnię dla ubogich, wspomagano poszkodowanych przez pożary i wylewy Kaczawy - tych nie brakowało, np. w latach 1863-64 spłonęło blisko sto budynków przy ul. Basztowej i Solnej.

Ówcześni złotoryjanie raczej nie pasjonowali się trwającym właśnie na ziemiach polskich powstaniem styczniowym, za to, rzecz jasna, przeżywali wojnę Prus z Austrią(z której burmistrz wrócił w stopniu kapitana) i Francją oraz zjednoczenie Niemiec. Z tych lat przetrwały w wieży widokowej kościoła Mariackiego dwie lufy armatnie z datami 1870-1871.

O mieście mówiło się szeroko nie tylko przy okazji planowanej budowy linii kolejowych(czego Matthäi nie dożył), ale przede wszystkim podczas zorganizowanego tutaj Śląskiego Święta Śpiewaczego w 1858 r., gdy gościły chóry z ponad dwudziestu miast śląskich, a także z okazji zawiązania Stowarzyszenia Śląskiej Ewangelickiej Muzyki Kościelnej, którego siedzibą stała się Złotoryja.

Gustav Matthäi zmarł w wieku zaledwie 56 lat. Plac przed pocztą nazwano, w dowód zasług, jego nazwiskiem. Bardzo możliwe, iż podczas powojennej polonizacji zbieżność nazwisk spowodowała nadanie temu obszarowi imienia Jana Matejki.

Roman Gorzkowski

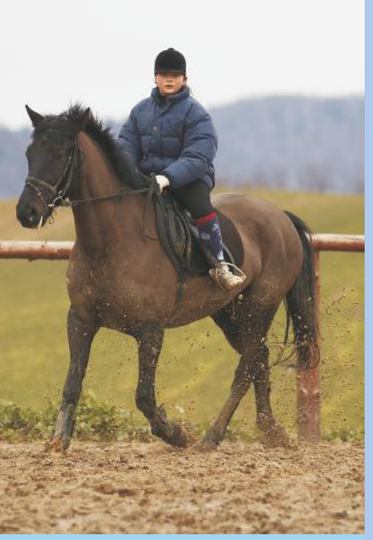

Konno po zdrowie

Praca dziennikarska ma niewątpliwie tę zaletę, że poznaje się naprawdę interesujących ludzi pasjonatów, entuzjastów. Wśród nich jedno z czołowych miejsc (gdybym taki osobisty ranking prowadziła, nagradzając, np. Złotymi Kryształami) zajmowałaby na pewno pani Ewelina Zawadzka.

Przy trasie ze Złotoryi do Jeleniej Góry w Nowym Kościele jest mały ośrodek jeździecki „przytulony" do gospodarstwa agroturystycznego Fabio. Wielokrotnie pokonując tę trasę, zwróciłam uwagę na majestatyczne i pełne gracji sylwetki koni stojących na padoku. Czasem, mając szczęście, podziwiałam wyczyny amazonki, skaczącej konno przez przeszkody, jak się później okazało, właścicielki Agrohippiki p. Joanny Łuczaj.

Można by powiedzieć ośrodek jakich wiele obecnie na naszym terenie. Jednak nie jest to typowe miejsce. Tu nie tylko można pojeździć konno, ale również skorzystać z zajęć hipoterapii, które prowadzi pani Ewelina.

Spotykam się z p. Eweliną w tradycyjnej dla niej scenografii, tam, gdzie najczęściej można ją zobaczyć - wśród koni. Praca w Agrohippice wypełnia jej niemal cały czas. Kiedy nie prowadzi jazdy, zajmuje się pielęgnowaniem kilkunastu koni: czyszczeniem, karmieniem, wyprowadzaniem na padok. Ta młoda i filigranowa kobieta pełna jest siły i entuzjazmu szczególnie widocznego, gdy mówi o koniach i hipoterapii. „Działalność w tym kierunku rozpoczęliśmy w ubiegłym roku." P. Ewelina jest absolwentką Technikum Rolniczego, ale by uczyć jazdy konnej, musiała przejść dodatkowe szkolenia. Ukończyła wiele kursów, a ostatnio ten najważniejszy uprawniający do prowadzenia zajęć z hipoterapii. Mimo młodego wieku, ta kobieta ma już za sobą wiele lat pracy i związanych z nią doświadczeń - zarówno z końmi jak i z ludźmi. Kilka lat pracowała w stadninach za granicą. Jednak to tu znalazła swoje miejsce. Pracuje w Ośrodku, który stworzyła jej przyjaciółka Joanna Łuczaj. „Cieszę się, że trafiłam na Asię. Dobrze się rozumiemy i uzupełniamy. Ona jest fanatyczką jazdy sportowej, ja zajmuję się prowadzeniem zajęć rekreacyjnych i ostatnio - hipoterapii."

P. Ewelina boleje nad tym, że wciąż tak mało ludzi wie o terapeutycznym znaczeniu zajęć hippicznych. Wielu z tych, którzy powinni poddać się terapii, korzysta jedynie z zabiegów rehabilitacyjnych, oferowanych przez zakłady opieki zdrowotnej. A jak jest z dostępnością do tych usług, każdy chyba wie.

Koszty hipoterapii nie są wysokie. Za półgodzinne zajęcia płaci się ok. 20 złotych. Jednak p. Ewelina zdaje sobie sprawę, ze nie wszystkich rodziców stać na dodatkowy wydatek, kiedy opieka nad niepełnosprawnym dzieckiem pochłania znaczną część budżetu domowego. „Dlatego też nawiązałam kontakt z instytucjami, które, dysponując przeznaczonymi na ten cel środkami, mogłyby sfinansować zajęcia dla dzieci. Byłam w Ośrodkach Szkolno Wychowawczych w Złotoryi i Wojcieszowie, świetlicach terapeutycznych w powiecie. Przekonywałam, że naprawdę warto przeznaczyć pieniądze na ten cel. Teraz czekamy na odzew i …dzieci."

Kontakt z koniem pomaga niwelować skutki wielu chorób o podłożu neurologicznym. Szczególnie korzystny jest dla dzieci z porażeniem mózgowym, zespołem Downa, autyzmem czy spastycznością. „Po półgodzinnej jeździe na koniu dzieci z niedowładem, przykurczami, silnym napięciem mięśniowym to nie te same osoby" mówi p. Ewelina. „Podczas zajęć dzieci rozluźniają się, swobodniej siedzą, zwiększają zakres ruchów."

Konie przeznaczone do pracy z dziećmi są niższe (do 150 cm wysokości), najczęściej rasy huculskiej lub koniki polskie. Nie mogą to być konie młode czy ogiery wiadomo bardziej porywcze. Najlepsze są klacze i wałachy. Muszą być cierpliwe i opanowane. „Obecnie mamy dwa konie przeznaczone do hipoterapii. Są bardzo spokojne, przyzwyczajone do dzieci, do różnych dziwnych ruchów, krzyków, do wózków inwalidzkich."

O łagodnym charakterze koni przekonać się można, obserwując nietypową scenę w stajni. W jednym z boksów, obok stojącego tam konia, widać śpiącego na sianie kota. W zupełnej harmonii. Na drzwiach innego boksu siedzi drugi kot, a klacz przytula swój łeb do jego futra. Pod nogami kręci się pies. Nikt nikomu nie wadzi.

„U nas naprawdę jest bezpiecznie" zapewnia p. Ewelina i na potwierdzenie tego pokazuje zaplecze, w którym zgromadzone są kaski i kamizelki. Bez nich jeździec nie wsiądzie na konia. Nawet podczas jazdy rekreacyjnej. Chociaż bywają wyjątki, np. dzieci autystyczne mogą reagować histerycznie na nakrycie głowy, a wtedy nie wolno zmuszać ich do żadnej przykrości.

Niektóre dzieci są na tyle sprawne, że mogą wyjeżdżać w teren, inne z niedowładami siedzą na koniu wraz z instruktorką i ćwiczą na krytym, okrągłym lonżowniku (widać go z drogi).

„Nie każde zajęcia hipoterapii to jazda konna. Czasami to są zabawy integracyjne prowadzone pod kierunkiem naszej wolontariuszki studentki pedagogiki specjalnej" mówi p. Ewelina. „W terapii ważne też są emocje. Dzieci przytulają się do koni, głaszczą je. Ciepło, sierść czy ruchy konia to bodźce, działają intensywnie na człowieka, szczególnie młodego przeżywającego wszystko ze wzmożoną siłą."

Agrohippika przygotowana jest na przyjęcie nawet kilkunastoosobowej gromadki dzieci. Kiedy jedne ćwiczą na koniach, inne mogą bawić się w ogródku czy przy ognisku. Co prawda o tej porze pogoda jeszcze nie sprzyja dłuższemu pobytowi na dworze, ale już niebawem padok zazieleni się, błoto zniknie, a wtedy będzie tam naprawdę uroczo. Teren wokół zaprasza do wycieczek bryczką lub w zimie saniami. Tego typu atrakcje Agrohippika oferuje swoim małym gościom.

Jednym z biorących udział w zajęciach hipoterapii jest sześcioletni synek p. Elżbiety ze Złotoryi. W wieku trzech lat zdiagnozowano u chłopca polineuropatię (zespół uszkodzenia nerwów obwodowych). Przejawia się to między innymi osłabieniem podudzi i pewnymi trudnościami w poruszaniu się oraz zaburzeniami równowagi. Lekarze zalecili rehabilitację, aby choroba nie czyniła większych postępów. Od jesieni pani Elżbieta zdecydowała się również na hipoterapię. Uznała, że będzie to atrakcyjne uzupełnienie klasycznej fizjoterapii. Poza tym kiedy kończy się seria zabiegów w szpitalu, dziecko może znowu systematycznie ćwiczyć. W tym przypadku systematyczność jest gwarancją sukcesu terapeutycznego.

Instruktorka stosuje u sześciolatka dość zaawansowane ćwiczenia. Obecnie chłopiec wyjeżdża już w teren i bardzo dobrze sobie radzi. Nawiązuje świetny kontakt z końmi, głaszcze je, chce karmić. Nie ma w nim żadnego lęku.

Mama chłopca uważa, że hipoterapia w przypadku jej dziecka to zdecydowanie połączenie pożytecznego z przyjemnym. Planuje oczywiście korzystać z innych metod, np. pływania, ale dla niej ważne są emocje dziecka. „Jeśli synek lubi taką formę zajęć, jest bardziej do nich zmotywowany"- mówi.

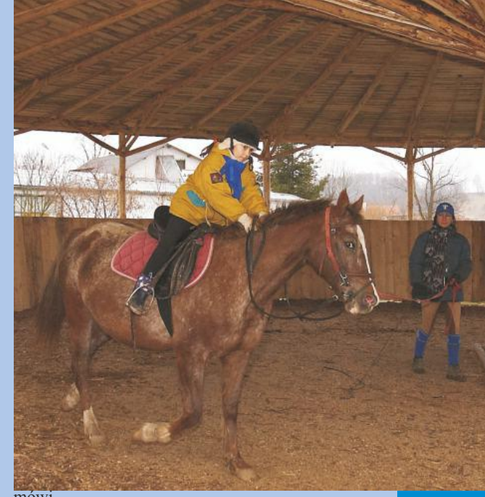

Pani Elżbieta cieszy się, że choroba dziecka nie postępuje, a synek w efekcie ćwiczeń jest coraz silniejszy. Za moim pośrednictwem apeluje do rodziców dzieci niepełnosprawnych, aby nie zrażali się kosztami hipoterapii. Twierdzi, że nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak ważne w procesie terapeutycznym są uczucia. „Nie wahajmy się sprawiać przyjemność własnym dzieciom." Tym bardziej, kiedy mamy ku temu możliwości.

Iwona Pawłowska
fot.: Ryszard Masłowski

Koszt pół godziny hipoterapii to 20 zł. Jeżeli chcieliby Państwo pomóc dzieciom, dla których hipoterapia jest szansą na poprawę zdrowia, dzieciom, których nie stać, by raz w tygodniu poddać się temu zabiegowi - prosimy o kontakt z panią Anna Krupą - prezesem Stowarzyszenia Rodziców Dzieci Niepełno- sprawnych 507-442-755 lub z redakcją Echa.

Zbiornik na Kamienniku suchy, ale interesujący.

W historii naszego regionu (Dolnego Śląska Gór i Pogórza Kaczawskiego) odnotowano wielokrotnie duże powodzie. W kronikach Złotoryi i Świerzawy są to lata 1587, 1593, 1608, 1702, 1703, 1813. Szczególnie w latach kończących XIX wiek było ich dużo, z bardzo tragiczną w 1897 roku. Wielu z nas pamięta rok 1977, 1981 czy 1997, kiedy to Kaczawa poczyniła ogromne szkody. Niemal w każdym roku są dni, gdy mieszkańcy z niepokojem obserwują poziom wody w rzece.

W latach poprzedzających I wojnę światową podjęto na tych terenach kompleksowe działania zabezpieczające. Uregulowano niektóre koryta rzek i wybudowano liczne zbiorniki wodne z jedyną lub dominującą funkcją przeciwpowodziową. Najwięcej zapor wodnych zbudowano na Bobrze i jej dopływach, ale Kaczawa otrzymała też swój należny przydział: na samej Kaczawie w Kaczorowie i na Kamienniku w Świerzawie.

Świerzawska tama została zbudowana w latach 1907-1911 na prawobrzeżnym dopływie około 400 m powyżej ujścia do Kaczawy. Zwężona dolina, o stromych skalistych brzegach, sprzyjała temu przedsięwzięciu. Przegroda liczy sobie 100 m długości, 19,3 m wysokości i 4,5-5 m szerokości na górnej powierzchni korony. Skarpa odwodna wzmocniona kamiennym murem nachylona jest pod kątem 45 stopni, a odpowietrzna (dolna) pod kątem 30 stopni. Korpus tamy zbudowany jest z masy ziemnej. Najważniejsze w niej są urządzenia przepustowe położone na trzech różnych poziomach i solidnie obudowane. Dolny upust na wysokości 264,4 m może maksymalnie przepuszczać 4,75 m^3 wody na sekundę, a środkowy położony o 10 m wyżej 17,5 m^3/s. Najwyżej położony 281,5 m przelew boczny umożliwia bezpieczny przepływ, do 24,8 m^3 /s. Przepusty dolny i środkowy są okrągłe w przekroju i wykonane ze stalowej rury. Pierwszy o przekroju 0,7 m i długości 10 m przedłużony sztolnią roboczą o przekroju sklepieniowym z okładziną kamienną. Drugi środkowy najistotniejszy przy regulowanym przepływie powodziowym, ma aż 39 m długości i 1, 45 m średnicy. Przelew boczny, kaskadowy posiada 21,8 m długości oraz zaokrągloną koronę z okładziną kamienną. Zsumowany, maksymalny przepływ wody wynosi 47,5 m^3 /s. Przez koronę tamy woda nie może się przelewać, ponieważ groziłoby to jej uszkodzeniem.

Zlewnia potoku Kamiennik to obszar 37,82 km^2, z czego 28,6 km^2, czyli ponad 75% zajmują lasy. W jej granicach leżą: wieś Rzeszówek i Kolonia Jurczyce. Lasy i łąki tego terenu należą do Parku Krajobrazowego „Chełmy" i obfitują w osobliwości botaniczne. Spotkać tam można wiele gatunków storczyków. W zbiorniku przy maksymalnym spiętrzeniu można zgromadzić 30,2 mln m^3 wody. Najwyższy, boczny przelew znajduje się na wysokości 20 m powyżej poziomu rynku w Świerzawie, do którego stąd zaledwie 500 m. Tama pełni rolę tylko i wyłącznie przeciwpowodziową. Chociaż był taki czas, że rozbudzono nadzieje tych, którzy marzyli o żeglowaniu i innych sportach wodnych. Było to w 1966 roku, kiedy po długich staraniach napełniono zbiornik. Mimo że przepusty zamknięto kilka miesięcy wcześniej, na zaplanowany termin otwarcia ośrodka wodnego 22 lipca wody z naturalnego przepływu zabrakło… . Przez kilka lat po „jeziorze" pływała żaglówka i kilka kajaków. Później jednak badania wykazały przesiąkanie tamy i mimo kilkakrotnych prób i usilnych starań niektórych mieszkańców miasta nigdy już nie pozwolono na zmianę funkcji. Nawet niewielkie, częściowe, ale stałe napełnienie zbiornika nie jest możliwe.

Mimo, że zbiornik musi pozostać suchy, warto wybrać się w jego okolice. Oprócz urządzeń tamy w sąsiedztwie znaleźć można wiele interesujących ciekawostek. Poniżej tamy, przy wylocie przepustów, w kilku miejscach obejrzeć można wychodnie skalne w postaci m.in. zlepieńców kulmowych. Po drugiej stronie występują nawet płytkie jaskinie. Przy skałkach, a także powyżej, na prawym brzegu, w urozmaiconym gatunkowo dorodnym drzewostanie spotkać można wiele, również rzadkich i podlegających ochronie roślin. Są tu stanowiska gwiazdnicy gajowej, przytulii wonnej, kokoryczy wonnej, konwalii majowej i lilii złotogłów. Wiedzie tędy wiele ścieżek, które umożliwiają aktywny wypoczynek. Wszystkie zbiegają się w miejscu, gdzie od dawna palono ogniska. Potężne głazy narzutowe otaczające to miejsce i wysoki kopiec paleniska świadczą o trwającej długo popularności tego miejsca.Niestety, styczniowe wichury połamały tu wiele drzew, zwłaszcza świerków.

Poniżej tamy dostrzec można ślady urządzonego tu niegdyś terenowego amfiteatru. Miejsce to otaczają topole. Trochę niżej, na prawym brzegu, przy skałkach piaskowcowych kilkunastometrowej wysokości znajduje się kolejne dobre miejsce piknikowe. Do tamy doprowadza dróżka będąca przedłużeniem ulicy Zielonej. Tam, gdzie zbiegają się ulice: Zielona, Reymonta i Kościuszki znajduje się na Kamienniku bardzo interesujący średniowieczny most.

Piotr Norko
fot.: Robert Pawłowski

Nie ma jak u mamy

Od kiedy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej, coraz częściej nasz kraj odwiedzany jest przez zagranicznych gości, którzy nad luksus hoteli przekładają domową i sielską atmosferę. Taki rodzaj wypoczynku oferują gospodarstwa agroturystyczne, w których można cieszyć się urokami wiejskiego życia i obcować z naturą. Zwłaszcza Dolny Śląsk jest atrakcyjny dla obcokrajowców i to tu działają liczne gospodarstwa agroturystyczne. Odwiedziłam dom państwa Kikułów, którzy prowadzą taką działalność już od dziesięciu lat.

W budynku z numerem 27 nigdy nie jest pusto. Zawsze przyjeżdżają tu goście i to nie tylko z Polski, ale różnych zakątków Europy, takich jak Niemcy, Francja, Dania, Szwecja czy nawet Ukraina. Większość z nich to stali goście, regularnie odwiedzający dom państwa Kikułów.

A wszystko zaczęło się na pozór przypadkowo. Ojciec pana Marcina, właściciela gospodarstwa, od 34 lat jest myśliwym i to do niego przyjeżdżali tzw. „dewizowcy", czyli myśliwi z zagranicy. Zresztą do dziś są podsyłani przez firmę, która zajmuje się organizacją polowań na terenie całej Polski. Oglądanie przygotowań myśliwych do wyprawy, pomoc w budowie ambon czy konsumowanie dziczyzny jest chyba największą atrakcją w domu „Agat". To właśnie sprawia, że wśród wielu takich działalności w okolicy, ta jest niepowtarzalna.

Kuchnią zajmuje się pani Halina Kikuła, mama młodego właściciela. Gotuje typowo domowe potrawy: gołąbki, pierogi, a gulasz z dziczyzny to jej specjalność. To w dużej mierze dzięki jej pracy i doświadczeniu w wykonywaniu typowo domowych czynności, gospodarstwo tak dobrze funkcjonuje.

- W dzisiejszych czasach zaczyna się dopiero doceniać niepowtarzalny smak polskich potraw - mówi pan Marcin - Dlatego gościom smakuje nasza kuchnia, w końcu jest powiedzenie: „nie ma jak u mamy".

Właśnie ta dewiza przyświeca właścicielom „Agatu". Warunki są typowo domowe, a goście z zagranicy bardziej cenią to, niż eleganckie, ale i droższe hotele. Samochody wjeżdżające na podwórko wita Kuba, pies rasy nieokreślonej, w którego żyłach płynie mieszanka krwi owczarka i jamnika. Trzeba przyznać, że jego widok szokuje. Jednak pies jest niekwestionowaną atrakcją posesji państwa Kikułów. Oprócz Kuby żyją tu jeszcze wyżły myśliwskie i owczarek niemiecki. Nawet ostatnio psia rodzina powiększyła się o nowych członków - małe, słodkie szczenięta, które z miejsca stały się ulubieńcami wszystkich wokoło.

Dookoła domu rozciąga się olbrzymi sad, w którym można zorganizować ognisko ze smażeniem kiełbasek na patykach i śpiewami. Pan Marcin chętnie wspomaga swoim głosem biesiadników, ale rodzina dość surowo ocenia jego zdolności wokalne.

Młody gospodarz nie narzeka na brak pomysłów.

-W tym roku kończę edukację w Kolegium Karkonoskim, na wydziale fizjoterapii i planuję powiększyć agroturystykę o salon masażu leczniczego, saunę. Zamierzam też zająć się końmi. W końcu konkurencja nie śpi, a w okolicy znajduje się wiele rodzin zajmujących się tego typu działalnością- snuje swoje plany właściciel. - Nie narzekamy na brak gości, bo większość z nich, to stali bywalcy naszego domu. Ale nie ukrywam, że chciałbym gościć więcej ludzi. W samym Nowym Kościele są 4 gospodarstwa agroturystyczne. A jeszcze te w Lubiechowej czy w Sędziszowej...Ale to od nas jest najbliżej do wyciągu narciarskiego na Łysej Górze - uśmiecha się z dumą. - No i te piękne widoki! Przecież Stara Kraśnica leży niedaleko Karkonoszy!

Mimo konkurencji „Agat" całkiem nieźle prosperuje, rodzina wkłada w prowadzenie gospodarstwa wiele serca i przede wszystkim pracy. Kiedyś problemem był sposób ogrzewania, ale tato pana Marcina, Henryk Kikuła, szybko znalazł rozwiązanie - piec na miał. Taki sposób jest wprost idealny dla dużego domu.

- To ekologiczny piec. Pali się bez dymu całą noc i cały dzień - podkreśla pomysłodawca.

Dużo pracy zajmuje też utrzymanie 7 pokoi dla gości, sprzątanie, pranie czy prasowanie. Jednak to nie to przysporzyło najwięcej kłopotu w tym roku. Wiele szkód wyrządziły wichury, które nawiedziły w styczniu te rejony. Zawalone drzewa w sadzie, panika wśród zagranicznych gości.

- Ale wyszliśmy z tego obronną ręką. Z tym problemem sobie poradziliśmy, ale pojawiły się nowe kłopoty - zupełnie wiosenna zima. Brak śniegu zmniejszył ruch turystyczny w tym rejonie, nawet Łysa Góra świeciła pustkami. Dopiero na przełomie stycznia i lutego, gdy zrobiło się biało, coś ruszyło.

„Agat" to duma państwa Kikułów i dzieło ich rąk. Zdarzały się jednak nieraz chwile zwątpienia w powodzenie interesu. Obecnie, gdy agroturystykę przejął pan Marcin, w rodzinę Kikułów wstąpił nowy zapał do pracy.

- Agroturystyka to moja przyszłość - podkreśla właściciel.- Mam zamiar ją rozbudowywać i stawić czoło rynkowym wymaganiom, które z roku na rok ulegają zmianie. Wciąż zmieniają się przepisy prawne, zwiększa się konkurencja, która skutecznie kusi - tak jak my, domową atmosferą. Ważne jest, żeby kilkadziesiąt czy też kilkaset kilometrów od rodzinnego domu, tu także czuć ciepło, ciszę i spokój.

Miłą „konsekwencją" prowadzenia tego typu działalności jest poznawanie wielu ludzi, zawieranie przyjaźni. Wdzięczni goście w różny sposób okazywali zadowolenie z pobytu. Pan Marcin wciąż wspomina o pracowniku budowlanym, który nocował w „Agacie", a następnie pomagał wykopać mu staw w sadzie.

- Gościliśmy kiedyś człowieka, który pracuje w firmie szyjącej odzież ochronną dla lekarzy czy sanitariuszy. Do tej pory zaopatruje mnie w kitle, które są mi bardzo potrzebne na uczelni - opowiada właściciel. - Nietypowo swoją wdzięczność okazał inny z gości. Dostarczył pod nasz dom całą przyczepę młodego zielonego groszku. To było coś niesamowitego. Obdarowaliśmy nim potem większość członków rodziny!

Jeszcze nie opuściłam „Agatu", a już pan Marcin zaprasza mnie ponownie do odwiedzin jego gospodarstwa, kiedy tylko upora się ze skutkami wichury i zbuduje pac zabaw dla dzieci.

Gospodarstwa agroturystyczne powstają w naszym powiecie jak grzyby po deszczu. Przez wykorzystanie istniejącej bazy, infrastruktury i korzystnego położenia geograficznego są sposobem na życie i przeżycie dla wielu dolnośląskich rolników.

Aleksandra Falęcka

Jestem alkoholikiem...

Nie zapomnij nigdy przyjacielu,
Że nie jesteś sam, lecz jest nas wielu.
Nic nie stracone jest, ani skończone,
Gdy trzeźwy drogą pójdziesz cały czas.

Gdy mogłem wypowiedzieć na głos te dwa słowa, byłem pewny, że jestem uratowany. Mogłem zacząć się leczyć! Bo alkoholizm to śmiertelna choroba. Czyni ogromne spustoszenia w mózgu, wpływa negatywnie na psychikę, niszczy organy wewnętrzne, co prędzej czy później doprowadza do śmierci.

Zacząłem pić w zawodówce, gdy miałem 15 lat. Miałem mnóstwo tzw. *przyjaciół* od kieliszka. Mogliśmy się skrzyknąć o dowolnej porze, aby coś wypić: piwo, wino, wódka, wszystko jedno. Bo gdy się wypiło, świat stawał się przyjazny, wszystko nagle robiło się jakieś łatwiejsze. Wtedy byłem szczęśliwy. *Bawimy się!* Żeby było jeszcze lepiej, piło się następne piwo, następne wino, aż do całkowitego zapomnienia, aż do przepicia wszystkich pieniędzy.

Ale na drugi dzień pojawia się DÓŁ. Jest źle: nie ma pieniędzy. Przebłyski pamięci podpowiadają, że był kontakt z policją. *Na pewno znów będzie kolegium. Co powie żona? Przepiłem prawie całą wypłatę!* No więc piło się na odwagę, aby się można było łatwiej tłumaczyć przed żoną. Mówiłem sobie: *Tylko jedno piwo, żebym się lepiej poczuł. Przecież cierpię! Mam okropne wyrzuty sumienia! Piwo mi na pewno pomoże.* Owszem, pomagało. Po jednym, potem następnym, minimalizowałem swoje postępki, okłamywałem sam siebie, że nic takiego się nie stało, że jakoś sobie poradzę. Bo byłem znowu pijany.

Zdawałem sobie sprawę, jak postrzega mnie moja starsza córka, gdy wracałem pijany do domu. Bardzo się tego wstydziłem. Żona zawsze prała moje zbrukane ubranie, płaciła za mnie grzywny, sprzątała, gdy zdarzało mi się zwymiotować, załatwić się pod siebie.

Byłem upodlony, staczałem się, a moja rodzina razem ze mną.

W listopadzie 1984 r., gdy miałem 35 lat, podjąłem leczenie odwykowe w szpitalu

W okresach trzeźwości miałem świadomość, że jestem odpowiedzialny za swoją rodzinę. Nie mogłem pozwolić, aby przeze mnie zmarnowały życie trzy istoty, które kochałem: żona i dwie cudowne córeczki, z których jedna miała dwanaście lat, druga dwa latka.

Po wyjściu ze szpitala, już w pracy prosiłem kolegów, aby nie pili przy mnie. Rozpaczliwie pragnąłem wytrwać w trzeźwości. Nie było łatwo. Moi dawni kompani od kieliszka zapraszali mnie do wspólnego picia. Byli zdziwieni, że odmawiałem. *Co ty, stary?! Przecież było tak fajnie! Ty, uważaj, nie daj się wpuścić pod pantofel!* Gardzili mną, a przecież nie miałem innych przyjaciół. Straciłem ich przez alkohol. To bardzo bolało.

Zostałem SAM.

W domu też nie było lekko

Zaczęły się kłótnie z żoną. Z moją ukochaną kobietą, która znosiła moje zamroczenia alkoholowe, nie mogłem porozumieć się jako trzeźwy człowiek. Zacząłem ją krytykować, wszystko mi przeszkadzało. Jedzenie było za słone, źle ugotowane, zupa odgrzewana, nie tak posprzątane... Zachowywałem się agresywnie, jak bym nadal pił, ale przecież byłem trzeźwy!

Po latach nietrzeźwości chciałem zacząć rządzić domem, chciałem być mężczyzną. A moja żona przez te wszystkie lata była SAMA. Beze mnie borykała się z problemami, gdy byłem pijany, beze mnie wiązała koniec z końcem, gdy przepijałem wypłatę.

Nie wszystkie związki są w stanie przetrwać takie huśtawki nastrojów alkoholika. Wiele z nich się rozpada. To, że moje małżeństwo przetrwało, jest zasługą wyłącznie mojej żony. Okazała wyjątkowy hart ducha. Ona pomogła mi na nowo uczyć się żyć. Na trzeźwo.

I wtedy pomógł mi Klub

Po odwyku alkoholik wraca do swojego środowiska. W tym środowisku alkohol jest częścią kultury, reklamy piwa są wszędzie! Piją prawie wszyscy, przy lada okazji. Dlatego bez grupy wsparcia, ludzi, którzy przeszli to samo, co ja, którzy wiedzą, jaki piekielnie trudny jest proces leczenia, nie wyszedłbym z alkoholizmu.

Klub abstynenta mógł powstać dzięki pani psycholog Urszuli Bednarczyk z mężem. Jestem dumny z tego, że byłem jednym z jego założycieli.

Obecne miejsce naszego klubu to pl. Lotników Polskich 3a. Nasi członkowie z ogromnym entuzjazmem własnymi rękami malowali, remontowali pomieszczenia, miasto dało fundusze. Teraz dysponujemy pięknym, wygodnym lokalem, gdzie możemy się spotkać dwa razy w tygodniu, aby opowiedzieć o dobrych rzeczach, które nas spotkały, spróbować znaleźć sposób na problemy. Jesteśmy wśród swoich, rozumiemy się. Po takich spotkaniach czujemy się lepiej, jesteśmy rozładowani, umocnieni.

Moi dawni koledzy od kieliszka ze łzami w oczach przychodzili i przychodzą do mnie, abym pomógł im wyjść z nałogu. Ciągnąłem ich do klubu.

To bzdura, że kluby abstynenta to sekta!

Aktualnie nasz klub to stowarzyszenie pożytku publicznego *Klub Abstynenta Relaks*. Dzięki temu możemy dostać dofinansowanie do naszej działalności, np. z Urzędu Miejskiego. Do klubu można się zapisać i płacić składki, mogą przychodzić też osoby niepłacące składek. Można przestać przychodzić do klubu. Nikt nikogo na siłę nie zmusza ani do wejścia, ani do opuszczenia naszych szeregów. Nasi członkowie mają prawo przyprowadzić swoje żony, partnerki. Często zapraszamy na imprezy organizowane przez klub osoby spoza naszego kręgu. Są to przedstawiciele władz, sponsorzy, a nawet księża.

Klub bierze udział w zajęciach sportowo - rekreacyjnych. Mamy sporo pucharów za zdobyte miejsca w zawodach z innymi klubami abstynenta. Prowadzimy kronikę od początku istnienia klubu. Jeździmy na wycieczki, organizujemy ogniska, zabawy taneczne, różne inne imprezy. Czasami z banku żywności dostajemy konserwy, makaron i inne produkty.

Jeden z naszych członków napisał słowa do piosenki, którą chętnie śpiewamy. Może słowa są trochę nieporadne, ale ta piosenka jest o nas! Myślę, że nazwanie jej hymnem to gruba przesada.

Kontynuacja terapii

Najważniejsza przyczyna, dla której klub istnieje, to możliwość kontynuowania terapii antyalkoholowej. Co drugi piątek przyjeżdża do nas psycholog z wykładami na temat uzależnień, nawrotów, iluzji, urojonej zazdrości, itp. Możemy poznać wiedzę o chorobie alkoholowej i jej mechanizmy. Dzięki terapii jesteśmy w stanie zaakceptować własną chorobę.

Prowadzimy grupę samopomocową, grupę terapeutyczną. Działamy na zasadzie zaufania. Nikt nie jest zostawiony sam na sam z problemem. Znajdujemy w sobie oparcie.

Są tacy, co odchodzą od klubu i nadal są trzeźwi. Ale jestem przekonany, że jest im bardzo ciężko.

Picie cudzym gardłem

To takie powiedzenie, gdy się uczestniczy w imprezie, gdzie jest alkohol. Staramy się unikać takich imprez. To kusi. Nie zawsze jest to możliwe. Dlatego wolimy bawić się w towarzystwie innych abstynentów. **Alkoholikiem jest się do końca życia**. To tak, jak z chorym gardłem: jeżeli ktoś ma skłonności do przeziębień, powinien siedzieć w cieple i nie pić zimnych napojów. Alkoholik musi unikać miejsc z alkoholem. Do końca życia.

Przyjaźnie

w klubie też się zawiązują, a nawet romanse, jak w każdej społeczności.

Zdarzają się też konflikty. Część naszych członków prezentuje postawę roszczeniową wobec zarządu. Pieniądze, jakie otrzymujemy z Urzędu Miejskiego i z Urzędu Gminy w Złotoryi, trzeba bardzo precyzyjnie rozdzielić na zadania, które przedtem należało zaplanować. Nie wszyscy to rozumieją. Niektórzy kłócą się, obrażają. Trzeba to wszystko łagodzić i wyciszać. Zwykle to zadanie prezesa. Nie ukrywam, że bardzo trudne zadanie. Trzeba oddać całą duszę temu zadaniu i być odpornym na stresy. Niestety, nie byłem w stanie podołać temu do końca. Miałem zawał i byłem zmuszony zrezygnować z prezesowania. Odbyły się wybory i wybrano nowego prezesa. Obecnie jestem tzw. doradcą zarządu, który korzysta z mojego dotychczasowego doświadczenia.

Wyrwałem losowi kawał życia

Jestem dumny z tego, że poddałem się leczeniu jako młody człowiek. Dzięki temu dostałem szansę, aby zacząć żyć od nowa przez wiele lat. Na trzeźwo. Zmieniłem swoje myślenie. Bo alkoholizm tkwi w głowie. Trzeba się z nim uporać samemu. Nie ukrywam, że jestem alkoholikiem, bo to jest choroba. **Ale jestem trzeźwy od 8400 dni!** I będę trzeźwy nadal. Tego chcę nie dla kogoś, lecz dla siebie samego.
NIE CHCĘ PIĆ.

Zwierzenia ***Zbigniewa Michalskiego***
spisała Agnieszka Młyńczak
Czterowiersz na początku artykułu to fragment piosenki, której autorem jest jeden z członków klubu abstynenta Relaks.
fot. Robert Pawłowski

Oni wybrali życie na trzeźwo

Każdy klubowicz ma swoją figurkę, gdy jest trzeźwy jego figurka dumnie stoi...

Wraz z redaktorem naczelnym zostaliśmy zaproszeni do klubu przez Zbigniewa Michalskiego. Wchodzimy w uporządkowane podwórko nowego domu przy pl. Lotników Polskich 3a. Przy wejściu gustowna tabliczka *Klub Abstynenta Relaks w Złotoryi*. Jestem tu po raz pierwszy. Pan Zbigniew prowadzi nas na drugie piętro. Otwiera kratę oddzielającą korytarz od klatki schodowej. Po wejściu do sporej sali uderza nas miły zapach cukierków eukaliptusowych wyłożonych na stołach, ustawionych w literę U. Dokoła stołów krzesła, jedno przy drugim. W kącie kominek, na którym widać, że często płonie ogień. Z boku, w pogotowiu polana drewna.

- Ten wkład do kominka zafundował nam burmistrz Ireneusz Żurawski - chwali się gospodarz. - Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni. Kosztował niemało, a burmistrz wydał pieniądze z własnej kieszeni.

Obok dużej sali - mniejsza, z aneksem kuchennym. Można tu przyrządzić kawę, herbatę, prosty posiłek. Wszędzie wzorowy porządek. Całość sprawia wrażenie troskliwie zadbanego obiektu, mającego dobrego gospodarza.

W dużej sali na ścianach kilka półek z wyeksponowanymi pucharami za udział w licznych spartakiadach abstynenckich. Pod nimi wisi przepiękny duży obraz wykonany metodą batiku, przedstawiający krokus - symbol trzeźwości.

Na jednej z półek meblościanki w końcu pomieszczenia stoją ciemnobrązowe niewielkie figurki z porcelitu. Trochę podobne do rozbójnika Rumcajsa, trochę do Karkonosza. Wszystkie jednakowe. Jest ich około 40. Przy każdym karteczka z imieniem i nazwiskiem członka klubu. Ale nie wszystkie stoją. Cztery z nich leżą na boku. Przy nich też karteczki z nazwiskami.

- Te stojące to trzeźwi członkowie, a leżące to ci, którzy zapili - wyjaśnia pan Zbigniew. - Teraz muszą odczekać sześć miesięcy w trzeźwości, aby można było postawić *chłopka*. To działa na nich bardzo mocno. Przez tych *chłopków* czasami się kłócą, bo nie zawsze przyznają się do nietrzeźwości.

Chłopki robią na mnie ogromne wrażenie. Armia czterdziestu równiutko ustawionych dumnych jednakowych figurek i cztery leżące. Cztery, które nie wytrzymały w trzeźwości. Cztery upadłe. Naczelny pstryka jak szalony zdjęcia *chłopkom*. Też jest widocznie poruszony. Nazwiska trzeba będzie wymazać.

Nad meblami wypisane dużymi literami hasło: NAJLEPSZYM LEKARSTWEM DLA CZŁOWIEKA JEST DRUGI CZŁOWIEK. Czuje się, że w tym miejscu to wyjątkowo odpowiednie słowa.

Na meblach ułożone albumy. Otwieram jeden z nich. Jest to kronika Klubu Abstynenta Relaks od początku jego powstania. Dużo zdjęć, trochę komentarzy.

- O, to jestem ja - pan Zbyszek pokazuje szczupłego mężczyznę z ciemnymi włosami i sumiastymi wąsami *na Wałęsę*. - A to moja ukochana żona, która tyle ze mną przeszła. Ale wytrwała. Do końca. Teraz możemy razem cieszyć się moją trzeźwością.

Przeglądam dalej kronikę. Bardzo dużo spotkań. Na zdjęciach roześmiani ludzie. Myślę, że to szczęście móc należeć do takiej społeczności.

- To w tej dużej sali macie swoje spotkania? - pytam.

- Tak, ale jeżeli jest nas mniej, to przenosimy się do aneksu kuchennego, a w dużej sali wyłączamy ogrzewanie. Trzeba oszczędzać - uśmiecha się gospodarz.

*

Dochodzi piąta. Zajmuję miejsce obok Zbigniewa. Pachnie kawa, którą już niektórzy piją. Jak co piątek duża sala powoli się zapełnia. Elegancko ubrani ludzie są roześmiani, rozluźnieni, witają się serdecznie. Niektórzy przechodzą obok wszystkich siedzących i witają się przez podanie ręki. Ze mną też. Nie zadają żadnych pytań, chociaż spojrzenia są zaciekawione. Wielu z tych ludzi znam. Oni poznają mnie też, pozdrawiają przyjaźnie. Wszędzie słychać rozmowy, ktoś włączył muzykę. Gwar narasta. Próbuję odgadnąć wiek uczestników zebrania. Najmłodszy wiekiem mężczyzna ma niewiele ponad trzydzieści lat, najstarszy około sześćdziesiątki. Jest nawet małe dziecko na rękach u ojca. Chyba dwulatek.

Spoglądam na zapełnioną już całkowicie salę. Brakuje krzeseł. Jeszcze dostawiają, jeszcze się usadawiają. Zegar wiszący w centralnym miejscu pokazuje siedemnastą. Nagle prezes potrząsa dzwonkiem. Takim zwyczajnym, szkolnym. Na ten znak wszyscy się uciszają. Liczę zebranych. Jest ich ponad czterdzieści osób.

Prezes zaczyna tekstem: „gratuluję ci, że przyszedłeś, czy jesteś po raz pierwszy, czy po raz kolejny". Następnie zostaje odczytana lista obecności wraz z podaniem przy każdym nazwisku trzeźwych dni. Różnie bywa. Są tacy, którzy mają ich po kilka tysięcy, ale też są np. czterdziestodniowi. Prezes wita gości: terapeutę od uzależnień z Legnicy, który proponuje cykl wykładów o nawrotach, i mnie, przedstawicielkę *Echa Złotoryi*. Wyjaśnia, po co przyszłam i pyta zebranych, czy mogę notować. Zapada pełne rezerwy milczenie. Gdy wyjaśniam, że nie będzie żadnych nazwisk, zgadzają się.

Kolejną rytualną pozycją jest odśpiewanie hymnu. Słowa do niego ułożył jeden z klubowiczów. Ktoś usiadł przy kibordzie, zebrani podjęli śpiew. Hymn jest na melodię harcerskiej piosenki *Płonie ognisko i szumią knieje*. Nie widzę zbytniego zapału do śpiewania wśród zebranych. Część rusza ustami, wielu nie śpiewa wcale. Wydaje się, że ten hymn nie wejdzie na stałe do rytuału spotkań. Po odśpiewaniu hymnu następuje nieoczekiwana zmiana porządku zebrania.

Figurki tych co ulegli pokusie, leżą wstydliwie. Na kartkach są ich imiona i nazwiska.

- Ponieważ wczoraj był Dzień Kobiet, dzisiaj w klubie wszystkie panie zostaną uhonorowane kwiatkiem i czekoladą - wyjaśnia prezes.

Kilku panów wchodzi z naręczem kwiatów i po kolei wręczają każdej pani piękną czerwoną różę i czekoladę, składając przy tym życzenia. Robi się lekkie zamieszanie, ale bardzo przyjemne; w tle słychać cichą melodię. Ja też odbieram kwiatek, czekoladę i życzenia. Czuję się tym nieco zażenowana, bo nie jestem członkiem klubu. Niemniej jest mi bardzo przyjemnie. Róża jest piękna, a czekoladę zjem później.

Kolejnym rytuałem jest przedstawienie się nowych osób, które po raz pierwszy przyszły do klubu.

- Nazywam się Zbyszek. Jestem alkoholikiem. Piję 20 lat. Przyszedłem prosić o pomoc i radę - mówi rwącym głosem, z ogromną tremą. Ostatnie słowa grzęzną mu w krtani. Mężczyzna schyla głowę i pochyla się nisko nad stołem, ukrywając twarz. Wydaje mi się, że zerwałby się z krzesła i uciekł, gdyby nie tłok w sali. Wszyscy nagle spoważnieli, zrobiło się bardzo cicho. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Ktoś położył Zbyszkowi rękę na ramieniu, słychać głosy zapewniające o wsparciu. Oddycham z ulgą.

- No, a teraz powspominajmy sobie, jak kiedyś obchodziliśmy Dzień Kobiet - odzywa się prezes.

Jako pierwszy głos zabiera mężczyzna, który jest moim znajomym. Wiedziałam, że jest uzależniony, ale od jakiegoś czasu zauważyłam, że wygląda i zachowuje się inaczej. Stał się zadbany i pewny siebie. Nie sądziłam, że to klub wywarł na niego taki wpływ.

Staszek:

- Każdy Dzień Kobiet, każde święto było pretekstem do upicia się. Piłem do nieprzytomności. Byłem uzależniony, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Teraz mogę świętować na trzeźwo. Jestem z tego dumny.

Bogdan:

- Planowałem, że każde Święto Kobiet ma być uroczyste. Jestem budowlańcem. Jednak od rana na budowie opróżniališmy kolejne butelki. Nigdy nie mogłem dotrwać, aby na trzeźwo żonie złożyć życzenia. Na drugi dzień miałem zawsze ogromne poczucie winy. Teraz, gdy jestem trzeźwy, moja żona płacze, gdy jej wręczam kwiatek na Dzień Kobiet. Dziękuję Bogu, że dał mi siłę, abym mógł się wygrzebać z alkoholizmu - Bogdanowi w tym miejscu łamie się głos, oczy wilgotnieją. - Jestem trzeźwy dzięki miejscu, w którym jesteśmy. Gdy miałem chwile załamania, gdy chciałem zrezygnować z leczenia, zawsze znalazł się ktoś z klubu, kto podał mi pomocną dłoń, abym nie rezygnował.

Mariusz (trzymający na kolanach maleńką córeczkę):

- Mój dzień zaczynał się zawsze od picia alkoholu. Schodziłem rano do warsztatu i piłem. Zawsze zapominałem o różnych rocznicach w mojej rodzinie. Nie pamiętałem nawet o urodzinach żony. Kiedyś zaprągnąłem uczcić naszą rocznicę ślubu. Pojechałem w tym celu specjalnie do Złotoryi po prezent. Skończyłem ten dzień pijany w knajpie. Teraz jestem trzeźwy, a ta córeczka, to owoc trzeźwości - uśmiecha się.

- A skąd? To z Podhala? - padają pytania.

- Hej, spokojnie, wystarczy tych pytań! - ktoś inny mityguje dociekających. Wybucha śmiech życzliwych ludzi, którzy wiedzą o sobie bardzo dużo.

- Na szczęście nie widziała mnie pijanego. I nie zobaczy - dodaje Mariusz z pewnością siebie.

Marian:

- Wczoraj moja żona dostała ode mnie różę. Było bardzo przyjemnie. Świętowaliśmy na trzeźwo. Ale ja... nie pozbierałem się jeszcze do końca... - Marian mówi coraz ciszej i coraz niżej opuszcza głowę.

- Nie mogę mówić...

Aśka:

- To święto nigdy nie było dla mnie radosne. Jestem sama od 15 lat. Piłam zawsze z rozpaczy! - Aśka wybucha płaczem i wybiega z sali.

Jeszcze kilku innych zabiera głos, opowiadając bardzo podobne schematy życiowe: „Piłem, staczałem się, przyszedłem do klubu, otrzymałem pomoc; teraz jestem trzeźwy, jestem szczęśliwy".

Mówią o swoich uczuciach z ogromną otwartością! Nie byłam przygotowana na taki wstrząs emocjonalny. Ręka mi się trzęsie, nie mogę pisać, przez łzy nie widzę liter. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Dopiero teraz dociera do mnie sens tego wszystkiego. Z przeraźliwą jasnością uświadamiam sobie, ile ten klub dla nich znaczy. Jest dla nich kluczem do trzeźwej przyszłości. Widzę, na ile są niezbędni dla siebie nawzajem, jak się wspierają, jak mogą na siebie liczyć. Mikroskopijna społeczność, która wie o sobie wszystko. Może i mają rytuały, może i przesadzają z pewnymi sztywnymi formami, może i niepotrzebnie śpiewają jakieś hymny. Ale dzięki klubowi odzyskali równowagę emocjonalną. Są szczęśliwi, mają kochające rodziny, mogą pracować. Są pełnoprawnymi członkami społeczeństwa, bo już się nie wstydzą.

Prezes ogłasza przerwę. Korzystam z tego i wychodzę, poprzedzana życzliwymi zaproszeniami na następne posiedzenia. Kto wie, może przyjdę? Tym razem prywatnie.

W zebraniu Klubu Abstynenta „Relaks" uczestniczyła Agnieszka Młyńczak
fot. Robert Pawłowski

... psychologa

„Fizyczny głód połączony z opętaniem" to jedno z wielu metaforycznych określeń definiujących uzależnienie. Czym zatem jest uzależnienie?

Ewa Mikus: Uzależnienie jest chorobą wieloczynnikową, uszkadzającą funkcjonowanie człowieka w sferze somatycznej, psychologicznej i społecznej. Jest chorobą, której leczenie polega na odtruwaniu organizmu oraz na, na ogół, długotrwałej terapii, pozwalającej na zachowanie abstynencji i przywrócenie zdolności funkcjonowania w środowisku.

Jaka jest różnica między nadużywaniem a uzależnieniem?

E.M.: Istotą uzależnienia jest silna potrzeba, wręcz przymus używania substancji psychoaktywnej i niemożność zaprzestania tej czynności. O nadużywaniu mówimy wtedy, kiedy nie wchodzi w grę uzależnienie fizyczne, czyli nie ma „zespołu odstawienia", a istnieją szkody zdrowotne wywołane np. piciem alkoholu. Nadużywanie jest zazwyczaj fazą wstępną do uzależnienia. Od tego się zaczyna.

Jeżeli ja dzisiaj wypiłam, a na drugi dzień nie mogę na alkohol patrzeć, to świadczy o tym, że nie jestem uzależniona. Jeśli natomiast na drugi dzień z samego rana zaczynam szukać alkoholu, nie mogąc bez niego egzystować, to jestem uzależniona.

Czy istnieją cechy osobowości predysponujące do uzależnień?

E.M.: Pewne osobowości o niektórych cechach rzeczywiście są predysponowane w ogóle do ucieczkowości, a jedną z form ucieczek jest właśnie alkohol czy narkotyki.

A jakie to cechy?

E.M.: Cechy związane z nadwrażliwością, z niską odpornością na stres. To jedna grupa osób. Kolejna to osoby nieradzące sobie z problemami życia rodzinnego, nadwrażliwe, które mają niski próg reakcji na stres. Sięgając po alkohol czy narkotyki , w ten sposób się rozładowują.

Przy temacie predyspozycji. Czy istnieje ryzyko, że dzieci rodziców uzależnionych są „zakażone" uzależnieniem?

E.M.: Badania prowadzone na dzieciach alkoholików wychowywanych w różnych rodzinach wskazują na to, że możliwe jest dziedziczenie pewnych zaburzeń biochemicznych czy neurologicznych, które predysponują do rozwoju alkoholizmu. Ja w swojej 30-letniej praktyce spotkałam się z takimi przypadkami, że dzieci z rodzin alkoholowych były wręcz wrogami alkoholu. Ale były też i takie, które szły w ślady rodziców. A bywa i tak, że problem uzależnienia dotyka rodzin, w których matka i ojciec są wręcz abstynentami, a dziecko jest uzależnione. Myślę, że zaczyna się od prób i to jest normalne. Coś nowego kusi. Zresztą, alkohol w pewnych ilościach jest wskazany. Jest pewnego rodzaju remedium. Ale, to ważne, w określonych ilościach i okolicznościach. Najważniejsza jest granica.

Jak pomóc osobie uzależnionej? Gdzie szukać pomocy?

E.M.: No właśnie. Osoba uzależniona, jak i osoby, których ktoś bliski jest uzależniony,

otrzymają pomoc, zgłaszając się do powołanych do tego celu instytucji. W naszym mieście są to: Punkt konsultacyjny dla uzależnionych i ich rodzin, Poradnia Odwykowa, oddział detoksykacji w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej , a także Klub Abstynenta „Relaks".

Jakie jest zatem Pani zadanie?

E.M.: Pełnię funkcję pełnomocnika do spraw uzależnień przy Urzędzie Miasta w Złotoryi. To do mnie przychodzą osoby, które zetknęły się z alkoholem, które nie radzą sobie z pijącym członkiem rodziny. Procedura postępowania jest następująca: po rozmowie z osobą zgłaszającą problem wysyłam zaproszenie do osoby uzależnionej. Jeśli ona przyjdzie, to usiłuję uświadomić jej problem, co jest rzeczą bardzo, bardzo trudną, gdyż takie osoby są bezkrytyczne wobec siebie i nie widzą żadnego niebezpieczeństwa w swoim postępowaniu. Moim zadaniem jest zmotywować ją i nakłonić do podjęcia leczenia. Jeżeli uda mi się nakłonić do jakiejkolwiek formy leczenia, czy to szpital, poradnia, Esperal czy klub, to już jest dobrze. A jeżeli nie, wówczas podejmuję bardziej radykalne środki postępowania. Wysyłam pismo do Sądu Rejonowego o zastosowanie przymusowego leczenia odwykowego zamkniętego i wówczas osoba ta przebywa 6 tygodni na oddziale zamkniętym uczestnicząc w terapii indywidualnej i grupowej.

Byłoby wspaniale, gdyby takie działania przynosiły natychmiastowy skutek. Wiemy jednak, że tak nie jest.

E.M.: Niestety. Poddanie się przymusowemu leczeniu wcale nie oznacza rozwiązania problemu. To początek walki o siebie. Tak naprawdę, czy chcę pić, czy nie, zależy wyłącznie ode mnie. I mówienie, że wszyscy dookoła mnie ponoszą winę za moje uzależnienie, to jeden z mechanizmów obronnych alkoholika. A rzeczywistość jest smutna, gdyż pije on, bo chce pić, bo taką wybrał drogę.

Wiemy już, że alkoholizm zaburza życie każdej rodziny nim dotkniętej. Co z członkami rodzin, z bliskimi?

E.M.: Mówimy tu o osobach współuzależnionych., o ofiarach. To właśnie im służyć ma Punkt Konsultacyjny, w którym mogą liczyć na pomoc psychologa. Szczególnymi ofiarami są kobiety żony uzależnionych. To one potrzebują pomocy, gdyż najczęściej są pozostawione z problemem .Osoby uzależnione manipulują nimi, wmawiają im, że są winne temu, że one piją. Takie kobiety, szczególnie jeśli pochodzą z rodzin, w których rodzic pił, „kupują to".

Na zakończenie naszej rozmowy poproszę Panią o kilka żelaznych zasad dla rodzin żyjących z osobami uzależnionymi.

E.M.: Członkowie rodzin uzależnionych muszą się nauczyć wyrażać swoje emocje, nauczyć się akceptacji samego siebie. Muszą także zrozumieć istotę uzależnienia, by móc rzeczywiście pomóc chorej osobie, ale nie czuć się za nią odpowiedzialną i za efekt leczenia również.

1. Nie wstydźcie się prosić o pomoc.
2. Nie czujcie się winni.
3. Oddzielcie problem uzależnienia od siebie - od swego postępowania.
4.Nie dajcie sobą manipulować.
5. Stańcie z boku - nabierzcie dystansu do problemu.
6. Uwierzcie, że osoba uzależniona „musi sięgnąć dna", aby móc się od niego odbić, tzn. uruchomić własne siły.

Dziękujemy za rozmowę.

Ewa Mikus psycholog kliniczny; pełnomocnik do spraw uzależnień; 30 lat pracy w zawodzie. Od 1980r. pracuje w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym w Złotoryi niosąc pomoc osobom uzależnionym i ich rodzinom.

Rozmawiały Agata Leśnik i Emilia Mazurczak
Oprac. Renata Fuchs

W 2006 zatrzymano na terenie powiatu 5 kierowców w wieku 18-26 lat pod wpływem narkotyków oraz 46 handlarzy narkotyków w wieku 18-26. W ciągu trzech pierwszych miesięcy obecnego roku 8 handlarzy narkotyków w tym jedną osobę nieletnią oraz 1 ucznia z dwoma promilami w szkole. Alkohol i narkotyki nie są dla młodych ludzi trudne do zdobycia i stają się coraz częstszym powodem łamania przez nich prawa. Jak pokazują badania, ten problem dotyczy osób nawet poniżej 13. roku życia.

Młodzi ludzie w swoich środowiskach niejednokrotnie spotykają się a alkoholem i narkotykami. Prawie 1/3 uczniów gimnazjów w naszym powiecie zażywała narkotyki. Większość z nich pierwszy kontakt z nimi miała na imprezie, dostając je od kolegów. Powoduje nimi ciekawość? Czy wiedzą, co im grozi? Czego obawiają się nasi mieszkańcy? Na ten temat rozmawiam z mł. asp. Piotrem Klimaszewskim z Komendy Powiatowej Policji w Złotoryi.

Bartosz Jeziorski: Dlaczego młodzi ludzie sięgają po alkohol i narkotyki?

Piotr Klimaszewski: Głównym powodem jest ciekawość, chcą to zrobić dla „szpanu", chcą zaimponować lub robią to pod naciskiem grupy rówieśników. Powodów jest wiele, a wiedza posiadana przez nich w tym zakresie nie zawsze jest wystarczająca.

B.J.: Jak policja stara się przeciwdziałać tym zjawiskom?

P.K.: Jako zespół do spraw nieletnich przeprowadzamy co roku cykl spotkań poświęconych tylko zagrożeniom narkomanią. Staramy się dotrzeć do wszystkich szkół ponadpodstawowych. Przeprowadziliśmy również rok temu po raz pierwszy badania ankietowe wśród uczniów z myśl, by je kontynuować co roku.

... nauczyciela

Od kilkunastu lat w Zespole Szkół Zawodowych w Złotoryi prowadzone są zajęcia profilaktyczne zmierzające do przeciwdziałaniu uzależnieniom wśród uczniów. Pierwszy etap takich działań to przeprowadzenie badań wśród uczniów przybyłych do szkoły.

- Anonimowe badania prowadzę wśród młodzieży od 1995 roku mówi Jerzy Moskot , pedagog szkolny z dwudziestoletnim stażem. - Badamy wszystkie klasy I, by sprawdzić z jakimi problemami uczniowie przyszli do naszej szkoły. Również klasy starsze są wybiórczo ankietowane w tym temacie.

Wyniki ankietowe dają obraz z jakimi problemami boryka się młodzież i pozwala na skuteczne przeciwdziałanie różnym zagrożeniom. Dzięki tym informacją każda klasa objęta jest indywidualnym programem profilaktycznym, na który składają się spotkania ze specjalistami w dziedzinie narkomani, alkoholizmowi czy przemocy.

Z badań wynika dość niepokojący fakt, mianowicie od 1995 roku do 2006 roku wśród młodzieży wzrósł odsetek mających kontakt z narkotyki od 5% w pierwszym badaniu do 30% w roku ubiegłym.

W ramach oddziaływań profilaktycznych w minionym roku uczniowie wzięli udział w programie „Tak wiem ..." - mającym na celu przeciwdziałać zachowaniom patologicznym, stosowaniu alkohol i narkotyków, prowadzonym przez Teatr Dramatyczny im. Marka Kotańskiego z Krakowa. Został on sfinansowany ze środków Miejskiej Komisji ds. Rozwiązywania Problemów Alkoholowych i Narkomanii. Objęto nim 13 klas I (335 uczniów i 15
nauczycieli

Bartosz Jeziorski

... policjanta

B.J.: Jak do tematu tych spotkań podchodzą uczniowie?

P.K.: Muszę przyznać, że lepszy kontakt jest w szkołach średnich niż w gimnazjach, gdzie trudniej z tymi tematami dotrzeć do młodzieży. W gimnazjach jest to często traktowane jako żart, uczniowie szkół średnich za to zadają bardzo konkretne pytania, łącznie z tymi, co grozi za dane przestępstwo. A trzeba wiedzieć, że wszystkie czyny związane z posiadaniem i handlem narkotykami są przestępstwami.

B.J.: Czy prócz tzw. „pogadanek" w szkołach policja organizuje jakieś inne akcje?

P.K.: Co roku organizujemy Turniej Drużyn Podwórkowych dla młodzieży z naszego powiatu. Ma on pokazać młodzieży alternatywny sposób spędzania czasu. Zamiast siedzieć pod blokami, mogą aktywnie brać udział w rozgrywkach. A co się z tym wiąże, aby brać udział w rozgrywkach sportowych trzeba być zdrowym, czyli nie palić, nie spożywać alkoholu, nie brać narkotyków. Posiadanie najmniejszej ilości narkotyków jest już przestępstwem.

B.J.: Wszyscy wiemy, że dość łatwo ocenić, czy ktoś jest pod wpływem alkoholu, a jak to jest z narkotykami?

P.K.: Czy ktoś jest pod wpływem alkoholu można dość szybko ocenić, sytuacja jest trudniejsza z udowodnieniem że ktoś jest pod wypływem narkotyków. Jednak od pewnego czasu na stanie złotoryjskiej policji znajdują się testy narkotykowe, które pozwalają na szybkie sprawdzenie, czy ktoś jest pod wpływem narkotyków lub jakiego typu środki posiada.

B.J.: Pod wpływem alkoholu czy narkotyków młodzi ludzie częściej łamią prawo.

P.K.: Większość młodych ludzi, którzy popełniają jakieś czyny karalne, popełnia je pod wpływem alkoholu. A więc najczęściej wraca z jakiejś imprezy, zabawy, dyskoteki, gdzie wypije trochę alkoholu i zatraca świadomość, że pewne czyny są zabronione. A więc zakłócanie ładu i porządku, używanie słów wulgarnych, zaśmiecanie i naruszenie. Przykładem takiego zachowania może być czyn trójki młodych ludzi, którzy latem zeszłego roku pod wpływem alkoholu ukradli z radiowozu alkomat. Na szczęście, po zamknięciu dyskoteki w centrum sytuacja się uspokoiła i jest mniej tego typu przykładów łamania prawa.

B.J.: Czy mieszkańcy chętnie współpracują z policją w zakresie przeciwdziałania przestępczości na tle alkoholowym i narkotykowym?

P.K.: Ludzie dorośli rozumieją to zagrożenie, były nawet przypadki, że najbliższa rodzina zawiadamiała o dziwnych roślinach hodowanych przez młodzież, które okazywały się sadzonkami konopii indyjskiej. Dostajemy również informacje o grupach dziwnie zachowującej się młodzieży. Na wszystkie sygnały od mieszkańców reagujemy niezwłocznie. Niejednokrotnie po takich sygnałach patrole zatrzymywały osoby posiadające narkotyki lub nieletnich na wagarach spożywających alkohol.

B.J.: A młodzi ludzie?

P.K.: Bardzo rzadko. Przeprowadzone ankiety wykazują, że w ich otoczeniu są osoby handlujące lub posiadające narkotyki, ale młodzież traktuje to jako donos. To błędne myślenie, gdyż jest to działanie na ich własną szkodę.

B.J.: Skąd do naszego miasta napływają narkotyki?

P.K.: Z naszych informacji wynika, że najczęściej są sprowadzane z Jeleniej Góry.

B.J.: A co ze spożywaniem alkoholu?

P.K.: Alkohol jest ogólnie dostępny i jest z tym dość duży problem. Jeśli zatrzymujemy osoby nieletnie, to przekazujemy je do dyspozycji rodziców i staramy się ustalić, skąd nieletni miał alkohol. Niejednokrotnie mieszkańcy pomagają im uzyskać ten alkohol poprzez kupno w sklepie za małą opłatą. Niestety, jest na to społeczne przyzwolenia, a taki czyn to rozpijanie nieletnich i jest to przestępstwo. Dodatkowo, jeśli sprzedawca sprzeda nieletniemu alkohol, grozi mu utrata koncesji na sprzedaż alkoholu.

B.J.: Od początku istnienia złotoryjski Skatepark stał się miejscem spotkań młodych ludzi, którzy nie zawsze idą tam spędzać czas zgodnie z przeznaczeniem tego miejsca. Czy w naszym mieście dużo jest takich miejsc?

P.K.: Jeśli chodzi o Skatepark, to policjanci codziennie kontrolują ten obiekt. Było tam już wiele przypadków, kiedy to przy skontrolowanych młodych osobach ujawniano pewne ilości narkotyków. Częste kontrole są również na dworcu PKS, parku przy ulicy Wilczej i złotoryjskim deptaku. Dodatkowo takim miejscem staje się odnowiona Kopalnia Aurelia. Również w złotoryjskich lokalach pojawiają się nieumundurowani policjanci.

Ustawa z dnia 29 lipca 2005 r. o przeciwdziałaniu narkomanii
- produkcja narkotyków - do 3 lat
- posiadanie narkotyków - do 3 lat
- posiadanie znacznej ilości narkotyków - do lat 5
- handel narkotykami od 6 miesięcy do lat 8
- Jeśli właściciel lokalu rozrywkowego lub prowadzący inną działalność usługową, mając wiadomość o handlu lub używaniu narkotyków na terenie tego lokalu, nie powiadamia o tym niezwłocznie organów ścigania - do lat 2.

Barrtosz Jeziorski

...dealera

Zupełnie inne podejście do narkotyków jest wśród młodych ludzi, którzy znajdując się w opozycji do policji i pedagogów, łamiąc prawo udostępniają swój asortyment. Na rozmowę udało się nam namówić Marcina, studenta zajmującego się dostarczaniem „owocu zakazanego".

Bartosz Jeziorski: Kim są twoi klienci?

Marcin: Głównie młodzi ludzie, znajomi ze szkoły, podwórka, bywalcy moich lokali. Oni wiedzą czym się zajmuję a ja wiem co oni potrzebują. Wiedzą jak się ze mną skontaktować. Nigdy nie szukałem rynku, bo rynek jest wszędzie.

B.J.: Jak to wszędzie?

M.: Po prostu, jest na to zapotrzebowanie. Gdzie byś się nie pojawił jest ktoś, kto chce kupić. Czy to na uczelni, imprezie czy najbliższej okolicy. Rynek jest zawsze, dlatego nawet jeśli ktoś odpadnie z interesu na jego miejsce pojawi sie kolejny. Zawsze jeśli jest ktoś kto chce kupić, pojawi się ktoś kto chce sprzedać.

B.J.: Policja też jest.

M.: Policja? Pierwsze słyszę (śmiech). Owszem są i co z tego? Patrole łapą tych słabych lub przypadkiem innych nie ruszą, no chyba że jakąś akcję zrobią. Póki co nie miałem z nimi kontaktu i raczej mieć nie będę, mam zaufany krąg odbiorców, nie sprzedam byle komu. Ryzyko zawsze jest, nawet jak mnie złapią to co? Mam dobrą opinię, jestem nie karany i szanowany w środowisku. Rodzice w to nie uwierzą. Nic mi nie zrobią ...

B.J.: Nie czujesz że twoja działalność krzywdzi innych?

M.: W całej mojej działalności nie ma przecież ofiar. Ja sprzedający otrzymuję zapłatę jaką oczekuję a on kupujący otrzymuje towar pożądanej jakości. I wszyscy są szczęśliwi. Gdzie tu krzywda?

B.J.: Sprzedając „towar" prowadzisz do uzależnienia i szkód u odbiorcy.

M.: Nie doprowadzam do niczego, nikogo nie zmuszam, nie wpycham nikomu na siłę. Sami do mnie przychodzą. Zresztą od czego się nie da uzależnić? Ilu jest palaczy, alkoholików i innych nałogowców więc czemu tego się nie zabroni?

B.J.: Jednak czas uzależnienia i szkodliwość narkotyków jest większa niż alkoholu.

fot. z archiwum policji

M.: Od alkoholu bardzo szybko można się uzależnić, tak samo od papierosów.
Na każdym kroku widać, że palenie papierosów zabija, a palenie marihuany nie zabiaj. Więc czemu jedno jest ogólnie dostępne a drugie zakazane?

B.J.: A tzw. twarde narkotyki?

M.: Brane okazjonalnie są tak samo uzależniające jak lampka wina po pracy. Jeśli jednak będzie się pić codziennie to bardzo łatwo skończyć na odwyku lub w ogóle. Sam zanim zacząłem się tym zajmować miałem kontakt z nimi i dalej mam, a jakoś nie wylądowałem na dworcu, odwyku czy w więzieniu. Wszystko zależy od człowieka.

B.J.: W takim razie jakim człowiekiem jesteś?

M.: Interesu. Nie jest to główne moje zajęcie, ale pozwala na dodatkowe przyjemności ale również na naukę co może dziwnie zabrzmieć. Nie będę się tym wiecznie zajmował. Póki jestem młody i mam na to czas to dla czego nie warto korzystać z okazji?

Bartosz Jeziorski

Szeryf ze Świerzawy

Praca policjanta to jeden z najbardziej ryzykownych zawodów. Funkcjonariusze policji narażają codziennie swoje zdrowie, a nawet życie, abyśmy my mogli czuć się bezpiecznie. Niestety, policjanci za swój trud otrzymują stosunkowo niskie wynagrodzenie, zdarza się, że muszą korzystać z wysłużonego sprzętu, w dodatku spotykają się często z wrogim nastawieniem obywateli.

Jak o swojej pracy mówią sami policjanci? Jak wygląda ich zwyczajny dzień pracy?

Odwiedzam biuro asp. dzielnicowego w Świerzawie. Kierownik Rewiru Dzielnicowych w Świerzawie - st. asp. Zbigniew Popławski okazuje się przystojnym, wysokim, barczystym mężczyzną. Od progu wita mnie serdecznym uśmiechem. Jego gabinet wygląda bardzo schludnie, na biurku znajduje się telefon, komputer, kilka notesów.

Komendant, będąc młodym człowiekiem, nigdy nie marzył o pracy w policji.

„Po ukończeniu szkoły średniej wraz z kolegami zgłosiłem się na komendę, po czym zdałem wszystkie testy i zacząłem pracę w policji".

Nie jest łatwo zostać policjantem. Niezbędne jest spełnienie następujących warunków: polskie obywatelstwo, nieposzlakowana opinia, zaświadczenia o niekaralności, odpowiednie predyspozycje fizyczne i psychiczne, uregulowany stosunek do służby wojskowej.

Większe szanse mają osoby z ukończonymi studiami i dobrą znajomością języka obcego. Nie ma ograniczeń wiekowych, ale przychylniejszym okiem komisje spojrzą na osoby poniżej 35 lat. Dodatkowe punkty są też za wzrost powyżej 175 cm czy specjalistyczne kursy bądź uprawnienia przydatne w służbie.

St. asp. zaczyna dyżur wcześnie rano, ale jego czas pracy nie jest regularny, dlatego policjant musi być zawsze dyspozycyjny.

Funkcjonariusze w policji pracują na trzy zmiany. Każdy policjant posiada miesięczny grafik pracy. Jednak często wynikają różne zdarzenia losowe, kiedy nikt nie patrzy na grafik. Na potwierdzenie p. Zbigniew wspomina : „Parę tygodni temu brałem udział w akcji poszukiwawczej zaginionego mężczyzny z Wojcieszowa. Do pomocy włączono wiele radiowozów i straż. Trzeba było ściągać policjantów, którzy byli już po służbie. Inną tego typu akcją było tłumienie buntu w Zakładzie Poprawczym w Jerzmanicach."

O niebezpieczeństwie, z jakim wiąże się praca w policji, świadczą patrole i interwencje.

„Najczęstszym ich powodem w naszej okolicy jest przemoc fizyczna i psychiczna mężczyzn wobec kobiet lub dzieci wywołana jakże często nadużywaniem alkoholu. Do zajść najczęściej dochodzi w weekendy wieczorami. Każdy wyjazd na interwencję niesie ze sobą pewne ryzyko, ponieważ nigdy nie wiadomo, co nieprzewidzianego może się wydarzyć, np. osoba, która trzy razy zachowywała się normalnie, za czwartym może naruszyć nietykalność cielesną policjanta"- informuje mnie komendant.

Dowiedziałam się, że dzielnicowy ma do patrolowania w terenie cztery godziny. Ilość funkcjonariuszy wyjeżdżających na patrol jest różna. Dwóch policjantów jedzie na przesłuchania, ustalenia, doręczenia, wezwania i wywiady. Jeżeli policja jedzie do wyjątkowo niebezpiecznej osoby, wtedy wysyłanych jest co najmniej trzech policjantów, a czasem nawet dwa radiowozy.

Na podstawowe wyposażenie i umundurowanie policjanta składają się: broń palna, pałka służbowa tąfa, (na którą trzeba przejść dodatkowy egzamin) oraz pałka gumowa. Funkcjonariusz wyposażony jest również w RMG-ręczny miotacz gazu, kajdanki, kamizelkę kuloodporną, latarkę służbową, tarczkę do zatrzymywania pojazdów oraz radiostację.

„Radiostacja jest to bardzo ważny element podczas interwencji, gdyż funkcjonariusz musi mieć stały kontakt z dyżurnym. W terenach górzystych często występują zakłócenia, przez co każdy policjant posiada swój telefon komórkowy, on zapewnia mu łączność, np. z kolegą z patrolu"- tłumaczy policjant.

Pan Zbigniew jako komendant jest przede wszystkim odpowiedzialny za pracę swoich podwładnych dzielnicowych. Musi sporządzać sprawozdania o przestępstwach, podliczać wyniki różnych statystyk na koniec tygodnia lub miesiąca, zdawać relację z tego, ile było wykroczeń, aresztowań i zatrzymań.

Policjanci mają oczywiście też czas wolny od pracy, pan komendant wolne chwile spędza z rodziną. Uwielbia podróżować, zwiedzać góry, spotykać się z przyjaciółmi. Jednak w każdej chwili musi pamiętać o pracy, jaką wykonuje i być gotowym do uczestniczenia w akcji.

„Staram się w domu nie myśleć o pracy. W związku z tym nie rozmawiam z rodziną o sprawach służbowych. Nie chcę ich obarczać własnymi problemami" - odpowiada, gdy pytam go o wpływ zawodowych doświadczeń na życie prywatne.

Praca w policji to zaszczyt i przywilej, ale również duża odpowiedzialność. Nie jest to zawód dla każdego, ponieważ trzeba posiadać umiejętność pracy z ludźmi, szybkiego nawiązywania kontaktów, mieć odporność fizyczną i psychiczną.

„Mimo wielu minusów tego zawodu jestem zadowolony z mojej pracy i wykonuję ją z przyjemnością" - mówi komendant.

No cóż, wypadałoby życzyć każdemu takiej satysfakcji z wykonywania codziennych obowiązków służbowych.

Marta Cieciura

Lektorzy w Warszawie

Z wizytą w sejmie - spotkanie z panem Marszałkiem Markiem Jurkiem oraz z posłem panem Ryszardem Zbrzyznym

Modlitwa, zwiedzenia, podziwianie, historia - to właśnie cel pielgrzymki złotoryjskich lektorów do Warszawy. Cztery dni to niewiele, ale poznaliśmy chociaż niewielką część naszej stolicy.

W dniach 15-18 lutego grupą 12 lektorów wraz z naszym opiekunem księdzem Tomaszem Baranem udaliśmy się na pielgrzymkę do grobu Sługi Bożego księdza Jerzego Popiełuszki znajdującego się w Warszawie. Po pozyskaniu niezbędnych środków finansowych od złotoryjskich przedsiębiorców i osób prywatnych, w nocy 15 lutego wyruszyliśmy w podróż.

Po ośmiogodzinnej jeździe pociągiem osiągnęliśmy cel - stolicę.

Po zakwaterowaniu się w „Amicusie" na warszawskim Żoliborzu, gdzie bardzo życzliwie przyjął nas ksiądz Cezary Smuniewski i ksiądz prałat Zygmunt Malacki, udaliśmy się na rekonesans. Po zwiedzeniu Zamku Królewskiego i Starego Miasta odwiedziliśmy kościół św. Anny, w którym codziennie o godzinie 15[00] odmawialiśmy Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Po modlitwie nadszedł czas na obiad. Po obiedzie wróciliśmy do Amicusa na krótki odpoczynek, gdyż o 18[00] czekała nas msza święta w parafii p.w. św. Stanisława Kostki, w której tak życzliwie i mile zostaliśmy przyjęci. Po eucharystii, jak każdego wieczoru, udaliśmy się do kina. Po wieczornych projekcjach, które kończyły się ok. 1 w nocy wracaliśmy do naszego miejsca zakwaterowania, gdzie do późnych godzin nocnych toczyliśmy dyskusje na różne tematy.

Drugi dzień wyglądał bardzo podobnie: modlitwa, zwiedzanie i podziwianie. Wieczorem odwiedziliśmy najsłynniejsze w Warszawie Centrum Handlowe „Arkadia", w którym mogliśmy spędzić cały wolny czas. Ogrom niespodzianek przyniosły dzień trzeci i czwarty. Ran,o po śniadaniu odwiedził naszego księdza klasowy kolega, słynny aktor Tomasz Kot. W ciągu trwającego ok. 2 godzin spotkania z panem Tomkiem poznaliśmy tajniki zawodu aktora. Rozmawialiśmy o powstawaniu filmu, a nawet pan Tomasz podzielił się z nami swoimi wspomnieniami ze szkoły. Po spotkaniu każdy z nas zrobił sobie pamiątkową fotografię ze słynnym aktorem.

Dzień czwarty to czas, na który wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością. Najpierw niedzielna eucharystia, a potem to, co było głównym celem naszej pielgrzymki - zwiedzania Muzeum Sługi Bożego Ks. Jerzego Popiełuszki, które mieściło się w podziemiach naszego parafialnego kościółka. Spotkał nas ten zaszczyt, że po muzeum oprowadzał nas jeden z jego twórców - sam ksiądz prałat. Już na samym początku muzeum wywarło na nas olbrzymie wrażenie, gdyż wchodzi się do niego przez drzwi w kształcie krzyża, nad którymi widnieje napis: „Krzyż stał się nam bramą". W muzeum można podziwiać wiele eksponatów z czasów PRL, wśród których znajdują się akta księdza Jerzego, talony na mięso czy czekoladę i wiele, wiele innych egzotycznych dla nas przedmiotów. Muzeum złożone jest z dwóch części: pierwsza wprowadza nas w klimat tamtych lat, a do drugiej wchodzi się przez drzwi z rodzinnego domu księdza Jerzego. Ksiądz prałat opowiadał o tragedii, która w latach 80. dotknęła Polskę i rodzinę Popiełuszków. Historia wywołała w nas szczere emocje. Niektórym łza się w oku kręciła. Zdjęcia, filmy, ubrania - wszystko, co się tam znajduje, tworzy niepowtarzalną atmosferę. Nawet ludzie tak młodzi jak my, chociaż na chwilę mogą poczuć się jak świadkowie tamtych tragicznych wydarzeń. Po opuszczeniu muzeum - miejsca niejako świętego i bezcennego dla nas Polaków, udaliśmy się w drogę powrotną.

Żal było odjeżdżać i żegnać się z tym urokliwym miejscem i ze wspaniałymi ludźmi, jednak obiecaliśmy, że spotkamy się tu za rok.

Tomasz Górka

Karty - sposób na życie

- Moja przygoda z kartami telefonicznymi rozpoczęła się w 1998 roku przez córki, które przynosiły do domu znalezione zużyte karty magnetyczne. Po pewnym czasie sam zacząłem je poszukiwać. Dziś moja kolekcja liczy 1,8 tys. pojedynczych i skatalogowanych kart telefonicznych - mówi Janusz Markiewicz, kolekcjoner ze Złotoryi.

W pozyskiwaniu kart Panu Januszowi pomaga działalność we Wrocławskim Stowarzyszeniu Kolekcjonerów, którego jest członkiem od 2002 roku.

- Na spotkaniach klubu wymieniałem się kartami, pozyskując do swojej kolekcji nowe karty i rzadkie egzemplarze. Dodatkowo dobrym miejscem handlu są różnych wystawy kart i giełdy. Jednak większość znalazłem w okolicach budek telefonicznych, które są największym źródłem nowych egzemplarzy. Niejednokrotnie nawet wyjazd na wakacje był poświęcany w celu zdobycia brakujących mi egzemplarzy, z czego nie zawsze zadowolona była moja rodzina.

Kolekcja zajmuje obecnie sporą część szafy oraz kilka kartonów po butach, które, z uwagi na brak miejsca, trzymane są w piwnicy. Wszystkie pojedyncze karty przechowywane są w specjalnych klaserach, posegregowane od pierwszych polskich kart po najnowsze publikacje.

W swoich zbiorach, oprócz polskich kart telefonicznych, od tych najstarszych magnetycznych z 1991 roku produkowanych jeszcze we Włoszech po współczesne chipowe, Pan Janusz posiada jeszcze pokaźną kolekcję kart zagranicznych zbieranych w dwóch głównych tematach. Pierwszym są psy, których ze względu na małe mieszkanie Pan Janusz nie może hodować. Drugim i najważniejszym zbiorem jest bliska wszystkim Polakom tematyka papieska.

- Szczególną uwagę przywiązuję właśnie do niej. Jedną z najcenniejszych w tej tematyce jest karta wydana przez Wrocławskie Stowarzyszenie Kolekcjonerów z okazji VIII Wrocławskiej Krajowej Wystawy Kart Telefonicznych poświęconej „Pontyfikatowi Jana Pawła II w kolekcjonerstwie w pierwszą rocznicę odejścia do Domu Pan" w nakładzie zaledwie 300 sztuk.

- W swojej kolekcji posiadam również karty przedstawiające nasz region, o których nie wszyscy mieszkańcy wiedzą. Na kartach upamiętniono: III i V Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota, Mistrzostwa Świata w Płukaniu Złota oraz Dymarki Kaczawskie odbywające się w Leszczynie. Wydane zostały w małych nakładach i wciąż cieszą się sporą popularnością, i są poszukiwane, zwłaszcza karta dymarkowa, której 100 pierwszych egzemplarzy uzupełnione było o okolicznościowy karnet na kartę.

Niestety, odkąd Telekomunikacja Polska została przejęta przez francuskiego udziałowca, karty telefoniczne stały się mniej atrakcyjne. Stało się to na skutek rozpoczęcia produkowania kart o mało ciekawych wzorach, a dodatkowo w masowych nakładach.

- Liczę, że na 800-lecie nadania praw miejskich naszemu miastu, ktoś pokusi się o wydanie karty nawiązującej do obchodów rocznicowych. Jest to dobry pomysł na uczczenie tak ważnej chwili dla naszego miasta.

W dobie wszechobecnej telefonii komórkowej karty telefoniczne cieszą się coraz mniejszą

popularnością wśród Polaków. Wielu kolekcjonerów zaprzestało swojej działalności. Obecnie coraz mniej osób zajmuje się tą dziedziną kolekcjonerstwa. Pozostali nieliczni, którzy tak jak Pan Janusz Markiewicz uzupełniają swoje zbiory, pozostając wierni swojej pasji.

Złotoryjskie karty telefoniczne:

- III Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota (1)
nr 123, nakład 69,200, 25 impulsów
- III Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota (2)
nr 123, nakład 66,600, 25 impulsów
- III Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota (3)
nr 123, nakład 69,300, 25 impulsów
- V Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota
nr 518, nakład 20,200, 25 impulsów
- V Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota
nr 519, nakład 20,200, 50 impulsów
- Dymarki Kaczawskie
nr 869, nakład 10,000, 25 impulsów
- Mistrzostwa Świata w Płukaniu Złota
nr 932, nakład 65.500, 50 impulsów

Na podstawie:
- Polskie Karty Telefoniczne Telekomunikacja Polska S.A. Warszawa.

Bartosz Jeziorski

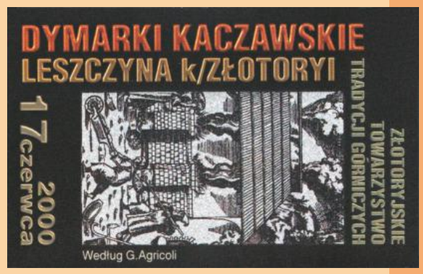

Wzgórze wisielców

opowiadanie oparte na faktach

Pierwsze promienie wschodzącego słońca nieśmiało przebiły się przez brudne, zakurzone okno, wpełzając do izby. W łóżku leżało dwoje przykrytych pierzyną ludzi. Spali, chociaż stan ich garderoby oraz pozycja, w jakiej leżeli, wskazywała na to, że minionej nocy spanie ani im było w głowie. Nic też nie wskazywało na to, by raczyli z własnej, nieprzymuszonej woli obudzić się przed południem. Nagle, bez żadnych ceregieli, do frontowych drzwi ktoś załomotał.

- Otwieraj, Endler, bezbożniku jeden! Wiem, że tam jesteś i znowu chędożysz własną córkę! - rozległ się głos z podwórka.

- Zaczekaj, Robercie. Ja z nim porozmawiam. Może nakłonię go, by oddał się w nasze ręce. Zaczekaj tu na mnie - powiedział drugi głos.

Jego właściciel wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Musiał się mocno schylać, by nie wyrżnąć głową w niski sufit. Zajrzał do izby, gdzie leżeli sprawcy całego tego zamieszania.

- Gottfried, wstawaj! Musimy poważnie porozmawiać! Obudź się! - mężczyzna podniósł głos.

Gottfried rozkleił leniwie powieki, a gdy zobaczył nad sobą ogromną postać z mieczem u boku, podniósł się gwałtownie.

- Na Boga, Johann, co ty tu robisz? - wykrzyknął z przerażeniem w głosie.

- Posłuchaj mnie, przyjacielu. Nie mogę cię dłużej kryć. Władze miasta zaczynają podejrzewać, a ludzie w mieście domagają się ukarania ciebie. Burmistrz przysłał ze mną Roberta, a wiesz, że on nikomu nie popuści. Musisz wyjść i z nim pomówić.

Na te słowa Gottfried skamieniał. Robert von Kaulfuß był najtwardszym stróżem prawa, jakiego widziało miasto Goldberg. Zaraz po burmistrzu on sprawował władzę nad wszystkim i wszystkimi, a czasem z braku lepszych zajęć wyręczał nawet i najwyższą władzę miejską. Miejski kat, Piotr Kręcikoło był jego najwierniejszym sługą i dobrym przyjacielem, a ulubionym zajęciem tego duetu było torturowanie skazańców, nawet tych niewinnych. Wszyscy mieszkańcy Goldberg jak ognia unikali kontaktu z Robertem, bo wiedzieli, że nawet przypadkowe spotkanie z „Inkwizytorem", bo takie miał przezwisko wśród gawiedzi, mogło wiązać się z jakimiś poważnymi oskarżeniami. W tym akurat konkretnym przypadku Gottdrieda czekał co najmniej stryczek.

- Ojcze, co się dzieje? - zapytała zaspanym głosem dziewczyna, która dopiero teraz spostrzegła Johanna, starego przyjaciela jej ojca.

- Nic, skarbie, nic. Śpij dalej, ja muszę wyjść - odrzekł uspokajająco Gottfried. - Johann, chodźmy do kuchni, pomyślę, co dalej, może uda mi się jakoś uciec.

Już ubrany Endler wraz z Johannem przeszli do kuchni, gdzie ku ich zaskoczeniu czekał już Robert von Kaulfuß. Najwyraźniej wszedł niepostrzeżenie, gdy tamci byli w sypialni. Gottfried stanął jak wryty.

- No, no… Pan Endler. Już wyspany? Jak minęła noc? - pytał Inkwizytor bez cienia uśmiechu. Ta mina wyrażała jedynie nieodpartą chęć mordu.

- Ja… Szanowny panie, ja wszystko wyjaśnię - wykręcał się oskarżony.

- Tu nie ma nic do wyjaśniania! Chędożysz rodzoną córkę pod moim nosem! - wrzeszczał Robert, opryskując ich śliną - Nie nadajesz się nawet do podziemi mistrza Pietra. Pójdziesz od razu na szafot, już ja ci to gwarantuję!

Gottfried zamilkł. Wiedział, że takie słowa z ust samego Inkwizytora są wyrokiem niemalże boskim. Najbardziej teraz martwił się o los swojej jedynej córki, która po jego śmierci, o ile nie zostanie powieszona, trafi pewnie do jakiegoś obskurnego zamtuza. Nie takiej przyszłości dla swojego dziecka pragnął.

- Panie de Vries, - Inkwizytor zwrócił się do Johanna - ja tu zostanę z panem Endlerem, a pana proszę o sprowadzenie straży. Trzeba odprowadzić naszego ptaszka do klatki.

- Tak jest, panie - Johann posłusznie skłonił się i wyszedł.

Po pełnych milczenia, najdłuższych dziesięciu minutach w swoim życiu Gottfried ujrzał, jak do jego kuchni wchodzi dwóch uzbrojonych żołnierzy miejskich. Gdy ujrzeli Inkwizytora, stanęli na baczność, oczekując rozkazów.

- Zabrać go na rynek - rzucił krótko Robert - zakujcie w dyby, niech czeka na swoją chwilę.

Zbrojni wywlekli Gottfrieda z domu, zostawiając Johanna sam na sam z Inkwizytorem.

- Zdaje się, że tam w sypialni jest jeszcze córka tego… łajdaka. Zróbcie z nią, co uważacie za konieczne, panie de Vries - rzekł Robert i wyszedł, zostawiając go ze swoimi myślami.

Johann stał tak przez dłuższą chwilę, nie wiedząc za bardzo, gdzie ani kim jest. Wyglądało na to, że się modlił, ale tak jak nie modlił się jeszcze w swoim życiu. Po tej dłuższej chwili obrócił się w stronę sypialni i poszedł tam. Usiadł na łóżku obok smacznie śpiącej Magdaleny. Była naprawdę piękna. Kruczoczarne loki spływały po jej twarzy, idealne rysy przywodziły na myśl anioła. Jednak Johann wiedział, że nie jest mu przeznaczona. Nie była nikomu przeznaczona. Gdyby pozostawił ją przy życiu, zrobiłby jej jeszcze większą krzywdę. Odgarnął jej włosy z czoła i pocałował ją w policzek.

- Żegnaj, kochanie - szepnął załamującym się głosem.

Wyjął z buta krótki nóż, zważył go w dłoni. Prawą ręką zrobił na czole Magdaleny znak krzyża. Potem już nie było odwrotu. Przyłożył nóż do gardła dziewczyny i mocno pchnął. Nawet się nie obudziła. Johann wstał, jednak zakręciło mu się w głowie. Usiadł pod ścianą i w takiej pozycji zasnął, nawet nie chowając zakrwawionego ostrza.

Gdy się obudził, słońce miało się ku zachodowi. Przypomniał sobie o egzekucji, jaka miała mieć dzisiaj miejsce. Wybiegł z domu Endlerów, lecz ani tam, ani w rynku nie spotkał żywej duszy. Na środku placu stały puste już dyby, naznaczone śladami zgniłych warzyw i jajek. Johann już wiedział, gdzie ma iść. Puścił się pędem w stronę Wzgórza. Było to miejsce straszne, gdzie jedynie Mistrz Piotr w ramach swojej pracy oraz zbójcy skazani na powieszenie odważali się zapuszczać.

De Vries dotarł na Szubieniczne Wzgórze. Nie było ono aż tak wysokie, żeby nie można było dostrzec, co znajdowało się na szczycie. Gdy Johann ujrzał ten średnio przyjemny obrazek, skamieniał. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wciąż trzyma w ręce nóż umoczony we krwi Magdaleny Endler. Na tle zachodzącego słońca Wzgórze wyglądało naprawdę majestatycznie, lecz jednocześnie mrocznie i strasznie. W oddali słychać było wycie wilka. De Vries wciąż stał jak kołek. Kropla krwi z ostrza skapnęła na ziemię. W tym momencie obrócił się w stronę miasta, otworzył szeroko oczy, a jego usta wykrzywił szaleńczy, demoniczny uśmiech. Spod Wzgórza rozległ się upiorny chichot spokojnego i praworządnego do tej pory urzędnika Johanna de Vries.

Michał Mendocha
Klasa Ic LO w Złotoryi

Zdarzyło się w marcu

1431 - pod miastem pojawił się trzystuosobowy oddział husytów (był to trzeci ich najazd; poprzednie 1427, 1428).
1504 - Hieronim Gürtler, zwany Wildenbergiem lub Aurimontanusem(Aureus Mons - łacińska nazwa miasta), został rektorem szkoły w Złotoryi, rozpoczynając jej szybki rozwój.
1522 - pierwsze protestanckie kazanie w kościele Mariackim w Złotoryi; w następstwie szybkie wprowadzenie reformacji, nawet prędzej niż we Wrocławiu.
1669 - na Górze Szubienicznej(dziś Góra Mieszczańska nad basenem) powieszono Gottfrieda Endlera za stosunki kazirodcze z córką (czytaj na stronie 14.).
1791 - przy strzelnicy pod Górą Szubieniczną wytyczono aleję i obsadzono 86 modrzewiami.
1803 - zamaskowana banda napadła na folwark na „Wzgórzu Grimmów"(koło kamieniołomu za ul. Zagrodzieńską).
1808 - pożar dachu klasztoru franciszkanów oraz kilku budynków przy ówczesnej ul. Rycerskiej(dziś J. Piłsudskiego).
1946 - ustalono dzisiejszą polską nazwę miasta(wcześniej posługiwano się nazwami Złota Góra i Złotoria); Henryk Borejko uruchomił Ośrodek Zdrowia w Złotoryi.
1956 - spaliła się świetlica Złotoryjskich Zakładów Wyrobów Filcowych w Domu Robotnika w Rynku.
1969 - Szkoła Podstawowa nr 2 przy ul. Kolejowej otrzymała imię Tadeusza Kościuszki.
1972 - ukazała się książka Bożeny Steinborn „Złotoryja - Chojnów - Świerzawa", zawierająca pierwszy po wojnie zarys historii tych miast.
1973 - w Powiatowym Domu Kultury odbyło się seminarium działaczy ukraińskich i greckich towarzystw społeczno-kulturalnych z Dolnego Śląska.
1974 - zakończyła się adaptacja budynku przy ul. S. Staszica na szkołę specjalną (do 1925 r. funkcjonowało tutaj więzienie).
1975 - rozpoczyna pracę PKO przy ul. Bohaterów Getta Warszawskiego.
1978 - uruchomiono Dom Nauczyciela „Bacalarus" przy ul. Szkolnej.
1982 - uruchomiono przedszkole państwowe przy ul. Legnickiej.
1985 - Mistrzostwa Polski SZS w akrobatyce w Złotoryi; MKS „Aurum" pierwszy drużynowo.
1987 - akcja protestacyjno-strajkowa skalników w Złotoryi; kryminalista z Legnicy zabił w centrum miasta starsze małżeństwo ciosami siekiery; złotoryjska woda mineralizowana oraz oranżada, produkowane przez „Społem", otrzymały nazwy „Lena" i „Złoty Zdrój".
1989 - strajk pracowników Spółdzielni Transportu Wiejskiego.
1991 - Miejska Biblioteka Publiczna w nowej siedzibie przy ul. S. Żeromskiego.
1992 - powstało Polskie Bractwo Kopaczy Złota.
1994 - powstało Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom Maltretowanym i Wykorzystywanym Seksualnie.
1996 - zdemolowano sztolnię pod Górą Mikołaja; Halowe Mistrzostwa Dolnego Śląska juniorów w Tenisie(na kortach ZTT).
1997 - mistrzyni olimpijska Renata Mauer w Złotoryi.
1998 - Alfred Michler Złotoryjaninem Roku 1997.
1999 - wykonano kamienną balustradę wokół studni w kościele Mariackim; PBKZł otrzymało siedzibę w baszcie przy USC.
2000 - miasto przystąpiło do Towarzystwa Budownictwa Społecznego w Kamiennej Górze, czego następstwem był generalny remont budynku przy Pl. Lotników Polskich; rolnicza blokada ulicy Legnickiej; Złotoryję odwiedziła delegacja z Buczacza na Ukrainie; drużyna piłki halowej „Vega" awansowała do I ligi legnickiej.
2001 - Andrzej Kowalski Złotoryjaninem Roku 2000.
2002 - Janusz Prus Lokalnym Liderem, a Bronisława Kowalska Politykiem Roku 2001.
2003 - Ireneusz Żurawski Politykiem Roku oraz Lokalnym Liderem Roku 2002 (był to ostatni wybór Złotoryjanina Roku, typowanego w pierwszych latach przez Radę Miejską, a później wybieranego plebiscytem organizowanym przez „Gazetę Złotoryjską").

(gar)

Pomysły na 800-lecie, cz. 2

W lutym Echo przedstawiło pierwszą część propozycji, których realizacja, zdaniem pomysłodawców, mogłaby uświetnić zbliżający się jubileusz 2011 roku. Dziś prezentujemy następne:

· Wznieść makiety bram miejskich obok Baszty Kowalskiej, u wylotu ul. Solnej, ul. M. Konopnickiej oraz na Pl. Matejki (jeśli nie uda się, odbudować na stałe bramę przy Baszcie)
· Wykonać pamiątkową fotografię 800 złotoryjan
· Zorganizować inscenizację bitwy wojsk francuskich, rosyjskich i pruskich o Wilczą Górę w 1813 r. z udziałem towarzystw historycznych z Rosji, Francji i Niemiec oraz licznych złotoryjan
· Zmobilizować władze miejskie i powiatowe, przedsiębiorców itp. do realizacji hasła „800 miejsc pracy na 800-lecie"
· Odnaleźć, odrestaurować i udostępnić fragment złotoryjskich podziemi
· Odrestaurować Basztę Kowalską oraz odtworzyć jej gotycki hełm, zniszczony w 1813 r.
· Zbudować Miasteczko Kopaczy Złota (Polskie Bractwo Kopaczy Złota) w najbliższych okolicach Złotoryi oraz Skansen Górniczy w Leszczynie (Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych)
· Wybić pamiątkowy medal
· Zakończyć budowę kościoła św. Józefa Robotnika na Kopaczu i uroczyście przekazać wiernym(parafia św. Jadwigi)
· W Muzeum Złota zorganizować stałą wystawę dotyczącą całej historii Złotoryi
· Podjąć starania o budowę obwodnicy miejskiej
· Odrestaurować obiekty stacji kolejowej

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Kolejna fotografia z archiwum TMZZ przedstawia wydarzenie, które wciąż stanowi dla nas zagadkę. Miało ono miejsce prawdopodobnie zimą w latach siedemdziesiątych na ówczesnym Pl. Zwycięzców(dzisiaj Niepodległości). Kogo witała wówczas pokaźna grupa mieszkańców naszego miasta? Czy może chodzi o któregoś z dostojników kościelnych? Znów prosimy czytelników o pomoc - cieszylibyśmy się bardzo, gdyby ktoś rozpoznał siebie na zdjęciu i zgłosił się do Redakcji lub TMZZ.

(gar)

Warto przeczytać...

Górnicza przeszłość

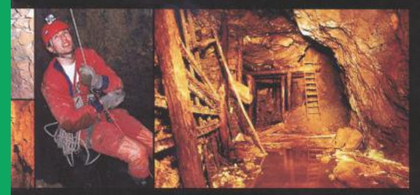

W przewodniku *Na tropach dawnego górnictwa Gór i Pogórza Kaczawskiego,* autorstwa Kingi i Krzysztofa Maciejaków, który ukazał się w ubiegłym roku, znajdzie czytelnik opis osiemnastu miejsc związanych z wydobywaniem złota, srebra, arsenu, miedzi, ołowiu, pirytu, rud żelaza, uranu i barytu. To kolejne z omawianych w tej rubryce wydawnictw, które powinny towarzyszyć naszym krótszym i dalszym wędrówkom. Bogato ilustrowana książka dokumentuje ciekawe i często tajemnicze pozostałości prac górniczych. Złotoryjanom zapewne będą najbliższe rozdziały o dziejach górnictwa złota w mieście i okolicach, kopalni „Aurelia", „Lenie", Leszczynie czy Stanisławowie.

Przewodnik nabyć można w tutejszych księgarniach lub u wydawcy, czyli w Studiu Edukacji i Aktywnego Wypoczynku „Goldcentrum" Kingi Maciejak.

(red.)

Miejsca opisane w przewodniku

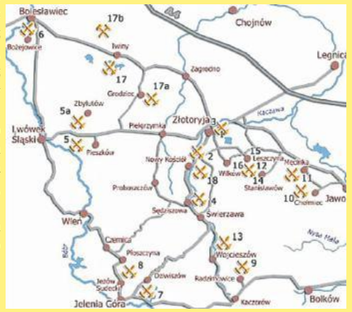

Nasi Piastowie

„Bieg Piastów" - wydarzenie sportowe, które trwa ponad ćwierć wieku. Wiąże tradycje i zbiera liczne grono ludzi. Fani z zapałem czekają cały rok, by móc znowu się spotkać i poczuć wspaniałą, niepowtarzalną atmosferę jakuszyckiego wyścigu. Wielokrotnymi startami mogą pochwalić się nasi złotoryjscy biegacze. Dwóch dzielnych zawodników opowiada o pasji, motywacjach i aspektach „Biegu Piastów" .

Jednym z nich jest Pan Andrzej Zdaniuk.

Martyna i Ola: *Jak zaczęła się Pana przygoda z „Biegiem Piastów" ?*

Andrzej Zdaniuk: Od zawsze kochałem sport. W młodości byłem zainteresowany niemalże każdą dyscypliną, począwszy od szachów czy brydża po biegi przełajowe. Żeby lepiej zrozumieć, skąd ta motywacja do sportu, trzeba zobaczyć moje dyplomy i osiągnięcia. Biorąc udział w Biegu Piastów, byłem pierwszym reprezentantem Złotoryi, pamiętam, że przydzielono mi numer 50. Ten wysoki numer miał pewną dwuznaczność, bo sama trasa liczyła 50 km. Taki dystans pojawił się po raz pierwszy, wcześniej biegano na dystansie 24 km. Koszulka była wykonana z płótna , a na niej widniała czerwona 50-tka. Z czasem dołączyli do mnie pracownicy Zakładów Obuwia. Gdzieś w 1979 czy 78 roku wyruszyli na jakuszycki bieg. Najpierw startowali mężczyźni, potem ich grono wspomogły kobiety. Niestety, wraz z likwidacją „filców", rozsypała się też reprezentacja zakładów.

M&O: *Jak przedstawia się historia złotoryjskiej grupy biegaczy?*

A.Z.: Obecnie cała nasza grupa jest mocna. Ja w tym roku startuję po raz 24. Mogę śmiało powiedzieć, że czuję się seniorem i stałym bywalcem tego sportowego wydarzenia. Na równi ze mną startował Tadeusz Gliński. Jan Piotrowicz ma kilka biegów mniej. Wraz z Piotrowiczem dawniej trenowaliśmy, on - skok wzwyż, ja zaś - biegi. Potem byłem zmuszony zmienić typ ćwiczeń, bo wybrałem inną dyscyplinę - ciężary. Janusz Pasek ma w dorobku 23 biegi, a wcześniej biegał z nami także Michał Cwynar. Oprócz złotoryjan grupę zasilał Bolesław Jałówko z Lwówka, który ma na swoim koncie 26 biegów. Ba, biegał z nami także były złotoryjski burmistrz Jerzy Kluz."

M&O: *Czy młodzież bierze udział w biegu ?*

A. Z: Zainteresowanie z roku na rok rośnie i startuje coraz więcej osób, także wśród ludzi młodych. My również szukamy następców wśród młodzieży, która będzie godnie reprezentować Złotoryję. W tym roku mamy dwóch młodych śmiałków - Tomka Sokoła oraz Bartka Krawkę.

M&O: *Jakimi osiągnięciami może się Pan pochwalić?*

A.Z.: Najwięcej sukcesów sportowych odniosłem w podnoszeniu ciężarów.
W Mistrzostwach Zagłębia Miedziowego zająłem 3. miejsce. Jeśli chodzi o BP, mój najlepszy wynik to 34 miejsce.
Mam już siedemdziesiąt lat, chociaż nie... jeszcze nie. Urodziłem się na Andrzejki, pielęgniarki dały mi wtedy klapsa i powiedziały: „Jak nic Andrzejek" ! - i stąd moje imię.

M&O: *Na trasie bywają chwile zwątpienia?*
A.Z.: Bywają kryzysy, które staram się szybko zwalczać, mówię sobie - „Dasz radę Andrzej" i biegnę dalej. By podczas biegu nie zabrakło siły, zawsze mam przy sobie słodkie przysmaki dodające energii. To też w pewien sposób motywuje do dalszego wysiłku.

M&O: *Czy przygotowywał się Pan do tegorocznego biegu?*

A.Z.: Tak, mam rolki, które pomagają w treningach przed „Biegiem Piastów" . Są bardzo przydatne, chociaż nie dają tego samego efektu co narty. Nabierałem kondycji, jeżdżąc na trasie w okolicach złotoryjskiego zalewu ok. 15-20 km dziennie.

Martyna Borysionek i Aleksandra Falęcka

Na nasze dociekliwe pytania odpowiedzi udzielił także Pan Tadeusz Gliński.

M&O: *Czy coś się zmieniło od Pana pierwszego startu do chwili obecnej ?*

Tadeusz Gliński: Bardzo dużo się zmieniło. Teraz można powiedzieć, że zawody dorównują poziomem zachodnim biegom. W tym roku bieg był naprawdę bardzo dobrze zorganizowany, co więcej, mogę nawet stwierdzić, że najlepiej ze wszystkich poprzednich lat. Innowacji uległa głównie strona organizacyjna. Zmodernizowane podium i estrada, a także unowocześniona technologia informacyjna, dzięki której można śledzić bieg w Internecie.

M&O: *Media, a zwłaszcza Internet przyczyniają się do nagłośnienia biegu. Czy można zauważyć wzrost zainteresowania tego typu sportem ?*
T.G.: Tak, coraz więcej osób ściąga co roku do Jakuszyc, by móc uczestniczyć w tym sportowym wydarzeniu. W tym roku po raz pierwszy nasze grono złotoryjskich stałych biegaczy zasiliło dwóch młodych zawodników, którym poszło całkiem nieźle. Narty to jeden z najlepszych zimowych sportów.

M&O: *„Bieg Piastów" to przede wszystkim rywalizacja, ale czy zawsze zdrowa?*

T.G.: Odkąd biegam, nigdy nie spotkałem się z zachowaniami, które mógłbym nazwać nie fair. Zwykle ludzie pomagają sobie, a na trasie można nawiązać znajomości z obcokrajowcami, nawet nie znając języka. Sam bieg trudno opisać słowami, trzeba przekonać się na własnej skórze i poczuć przyjazną atmosferę.

M&O: *Mówi się o kryzysie, że przychodzi on zwykle w połowie biegu, czy Panu również się zdarzył ?*

T. G.: Na szczęście ja takich kryzysów nie przeżywam, owszem, czuję zmęczenie, bo to długi dystans. Zdarza się, że wyczerpują się siły i zaczyna się słabnąć, wtedy szybko mówię sobie jakieś pokrzepiające zdanie i staram się dotrwać z pozytywną myślą do końca biegu.

M&O: *Co Pan czuje po dotarciu na metę?*

T.G.: Przede wszystkim liczy się to, że mogłem skończyć bieg, bo byłem w dobrej formie i bardzo dobrze się czułem. Zawiedziony jestem jedynie miejscem, ale to już mniej istotne, bo to wina sprzętu.

M&O: *Sprzęt odgrywa ważną rolę w wyścigu?*

T.G.: Oczywiście, bardzo istotne jest dobre nasmarowanie nart, trzeba trafić z odpowiednim środkiem i miejscem, na które należy go nałożyć. W tym roku miałem problem z nartami, pod spodem zrobił się lód i w efekcie musiałem się zatrzymać, ściągnąć narty i skrobać, co niestety zajęło trochę czasu. Setki ludzi poszło do przodu, a wyminąć ich było ciężko, zwłaszcza w lesie. Wiem, że jeśli ukończę bieg, to muszę przygotowywać się do następnego . Jestem już starszy, więc fizycznie, gdybym systematycznie nie trenował, nie mógłbym wziąć udziału w kolejnym wyścigu. Pomimo trudnej sytuacji udało mi się pokonać upragniony dystans. W tym roku było to 41km.

M&O: *Ostatnio wydaje się, że społeczeństwo bardziej docenia naturę i zdrowie.*

T.G.: To prawda. Bardzo dużo ludzi przyjeżdża do Jakuszyc. Jedni dla treningu i poprawienia formy, inni dla rekreacji. Ja sam byłem parę razy, by wzmocnić kondycję przed biegiem, ze względu na brak śniegu w Złotoryi. Z czasem liczba osób zainteresowanych nartami rośnie, co mnie bardzo cieszy. W weekendy przewija się tu mnóstwo turystów, także spoza kraju. To sport naprawdę warty polecenia.
Oprócz zdrowego wysiłku można nacieszyć oczy pięknymi widokami i pooddychać świeżym górskim powietrzem.

Martyna Borysionek i Aleksandra Falęcka

Następny numer Echa Złotoryi ukaże się 23 kwietnia.
A w nim:
Trozendorf i jego naśladowcy
Złotoryjski sport powszedni
Wieści zza muru
Eko - Kaczawa
Tajemnice pewnego pałacu

Nieustannie zapraszamy do wspólnego redagowania Echa Złotoryi.
Piszesz? Fotografujesz? Tworzysz grafikę komputerową?
Masz coś do powiedzenia innym?
Spotkania redakcji odbywają się w każdy poniedziałek o godzinie 17.00 w siedzibie TMZZ, ul. Szkolna 1 ("Bacalarus" - 2. piętro)